

W téj chwili stanowczéj jakiś majtek z tłumu ogromnym głosem krzyknął: „Wody! wody na liny!"

KOŚCIÓŁ Ś. PIOTRA W RZYMIE.

przez **Józefa Kremera.**

(Wyjątek z niedrukowanego jeszcze Vgo tomu Podróży do Włoch).

Trudnoby mi przyszło opisać uczucia, które we mnie zagrały, gdym przed kilku tygodniami pierwszy raz obaczył kościół Ѕgo Piotra. Było to pierwszego dnia mojéj bytności w Rzymie; nie miałem siły, by odroczyć do następnego poranku, téj pielgrzymki do najcelniejszéj świątyni całego chrześcijaństwa. Napięcie umysłu a niespokojna żądza duszy pewnie nie byłaby mi zasnąć dozwoliła.

Spiesząc za Tyber z daleka już ujrzałem kopułę, niby widziadło eteryczne, pływające w błękitach powietrznych. Dopiero po długiéj, długiéj drodze, kopuła przybrała zwolna dobitniejsze kontury o liniach nad wyraz cudownych. Nakoniec rozsunęły się ulice skromne, ubogie; zabiegi, zgiełki, powszedniego życia przycichły; umarły brukowe gwary, a jakby gromem stanął przedemną kościół i rozległ się przed nim plac jego olbrzymi a nad wyraz wspaniały.

Wyznaję, iż w pierwszéj chwili zatrzymałem się w smętném jakiemś podziwieniu. Ta ogromna przestrzeń placu przedstawiała się niewypowiedzianie cichą, odludną, cmentarną! Kilkoro ludzi, niby

muszki, przesuwało się przez te ogromne a nieme rozłogi. Widok niewypowiedzianie tęskny! Z pomiędzy kamieni brukowych wyzierały spieczone, twarde trawy.

Gdy zapewne wszyscy czytelnicy moi znają z rycin widok kościoła i placu tego, więc krótkie wspomnienie wystarczy.

Plac Śgo Piotra składa się z dwóch części. Pierwsza jest elipsą (owalem) w poprzek położoną, więc utworzoną z dwóch rozsuniętych od siebie połów koła. Druga część (niby atrium) rozlegająca się już przed samym kościołem, jest czworokątem.

Część eliptyczną, owalną, utworzyła kolumnada złożona ze czterech rzędów kolumn dorychich, więc ze trzech jakoby ulic z góry pokrytych a odgrodzonych kolumnami od siebie. Środkowa ulica jest tak przestronna, że dwa pojazdy wygodnie obok siebie jechać mogą. Szerokość wszystkich trzech dosięga 54 stóp, a wysokość kolumn bez mała 40 stóp. Pomyślmy sobie, że takich kolumn jest 284, a krom tego jeszcze 88 filarów! Na wierzchu tych galerji pyszni się ciężka balustrada, na niéj stanęło 162 posągów! Ta przestrzeń, którą ujęły te eliptyczne kolumnady, jest ogromnéj rozłożystości. Jakoż zważmy, Długość tego owalu dochodzi 804 stóp! Kolumnady te są arcydziełem Berniniego, one tak wspaniałym, szczęśliwym pomysłem, że mu można przebaczyć jego liczne a tak ciężkie w innych razach popełnione grzechy.

Boczne zaś strony placu czworokątnego utworzone są przez galerje, które łączą się z temi kolumnadami, a to tym trybem, iż w miarę zbliżania się ich ku krańcom facjaty kościoła, rozchodzą się niespostrzeżenie od siebie.

W téj ciszy bezludnéj, głuchéj, rozłożystéj, duma w słońcu potomek starego, zamyślonego Egiptu, obelisk. On niegdyś przed 33 wiekami z okładem, bo półtora tysiąca lat przed Narodzeniem Pańskiém stał na straży nadnilowéj świątyni w Heliopolis. Przeniosł go Kaligula do Rzymu i postawił w onym cyrku Watykańskim, w którym późniéj rozbestwionéм okrucieństwem szalał Nero. Więc to ten obelisk nocami świecił, jakby krwawą łuną bijącą od męczenników świętych, powleczonych w smolne wory i płonących jako żywe pochodnie wzdłuż całego cyrku, wśród gonitw wozowych, a chichotów owéj straszliwéj Rzymskiéj tłuszczy! Gdy późniéj wiara owych męczenników wzniosła się zwycięztwem, obelisk stał sam, po przez długie wieki niewzruszony, wśród ruin cyrku, a tak doczekał się czasów Syxtusa V (od 1583 do 1590). Ten wielkich pomysłów mąż pragnąc ustawić obelisk na placu przed kościołem, złożył ku temu celowi komissją, która rozpisała konkurs. Około 500 architektów zgłosiło się z planami swojemi.

W tym czasie żył Domenico Fontana, architekt a genialny mechanik. Jemu to wielki papież powierzył przeniesienie obelisku na miejsce, na którém go dziś widzimy.

Trzeba było całego świetnego talentu Fontany, aby w owym czasie, w owym 16 wieku rozwiązać tak szczęśliwie tego rodzaju zadanie. Bo uważmy. Sam obelisk bez podnóża i krzyża dochodzi 76 stóp wysokości, a waży 936,537 funtów. Przedwieczny król przebrzmiałego Egiptu, ongi użył do dokonania tejże saméj pracy 20,000 ludzi. Nie będę prawił o przemożonych trudach, zanim obelisk ruszony z miejsca dosięgnął placu dla niego przeznaczonego.

Było to w roku 1586 a 10 Września, gdy się jęto roboty, by go ostatecznie dźwignąć i postawić na podnożu. Fontana stojąc na wzniosłém rusztowaniu, jakby na wieży, przez tubę komenderuje ruchami. Cały plac nabity ludem, twarz przy twarzy, głowa przy głowie. Tłumy milczą, bo milczenie nakazał Syxtus, a wiedział lud, że z nim nie było żartów. Ba, wszak samo napięcie i oczekiwanie dławiło mowę i tchy gęstym ciżbom. Już, już, nie wiele brakło, już obelisk miał stanąć na podnożu, gdy Fontana spostrzegł, że liny brzemieniem obelisku zbyt się przedłużyły! W téj chwili stanowczéj jakiś majtek z tłumu ogromnym głosem krzyknął: „Wody! wody na liny!“ Fontana kazał zmoczyć liny a obelisk osadził się na podnożu swojém. Wtedy cała przestrzeń hukła okrzykiem radości, zagrały wszystkie dzwony, zagrzmiały działa, a szczęśliwy Fontana na rękach obnoszony po Rzymie, został mianowany szlachcicem i kawalerem złotéj ostrogi, z pensją 2,000 skudów złotych. Ów zaś majtek, imieniem

Bresca, co to w chwili stanowczéj tak szczęśliwie był krzyknął: Wody wody! na liny! otrzymał wyłączny przywiléj dla siebie i na wieczne czasy dla potomków swoich, dostarczania ludowi rzymskiemu palm na Kwietnią Niedzielę Syxtus V kazał na tym obelisku niegdyś tak okropnéj pamięci zatknąć krzyż 26 stóp wysoki. Tak obelisk wraz z tym krzyżem i podnożem wznosi się do 120 stóp.

Po obu stronach obelisku grają dwa cudownéj wspaniałości wodotryski, przypominające ową studnię Cantharus w Atrium (Paradisus) starochrześcijańskich bazylik. Ze szczytu tych fontan granitowych, 24 stóp wysokich, woda strzela w górę jeszcze 16 stóp, a tak dosięga wysokości dwóch pięter zwykłych wymiarów. Wody rozczepiwszy się u saméj góry na potężne brylantowe kity, a migocąc deszczem jakby kamieni drogich, spadają w czary granitowe, z tych znowu szumiąc i sycząc, rzucają się potokami w zlewisko ogromne a znacznie po nad bruk wzniesione. Zdaje się, że widzisz na słoneczném Niebie płonące ognie sztuczne. Gdy tchnie wietrzyk, już cię zawieje wilgotny, ożywczy chłód, jakby rosa wśród pogodnego ranku naszéj nadwiślańskiéj północy. Czują te deszczyki, tę rosę, trawki w około wodotrysków, wyglądające wesoło z pomiędzy bruku. Tutaj te trawki tak zielone, tak majowe, że im pewnie zazdroszczą owe w oddaleniu od nich chwastki biedne, suchotne, co jakby na skwarnéj arabskiéj pustyni, umierają z pragnienia po szczelinach rozpalonego bruku.

Stałem w niemém podziwieniu przez długą chwilę, na wstępie do tego placu Śgo Piotra. Przedemną wzlotny, samotny, ku niebu wskazujący obelisk; daleko po prawej i daleko po lewéj owe dwie śmiałe, wspaniałe wodne gry, a jeszcze daléj znowu te kolumnady, które z obu boków półkołami hardéj okazałości obejmują w olbrzymie ramy plac, a tam w modréj dali legła owa przestrzeń czworoboczna, a nakoniec wprost naprzeciw nas w najdalszéj, mglistéj, zachuchanéj perspektywie, staje facjata samego kościoła, dźwigając pod niebo majestat swojéj kopuły. Dodaj, że po prawéj stronie świątyni jeszcze się piętrzą na wysokości niby na tronie Watykańskie pałace, cieniując się w piętra, skrzydła, a składając całość ogromną, szlachetną i wspaniałą a pełną architektonicznego ruchu.

Widok to jest przenikający, prawie zastraszający swemi olbrzymiemi wymiarami! Stałem właśnie na wstępie do części eliptycznéj placu, gdy spostrzegłem pojazd, który się był zatrzymał przed kościołem. W tém oddaleniu pojazd i konie i jego ludzie zmalały dla nas w lalki, w cacko, co go pacholątka na stole stawiają. Po chwili gdy ruszył ku nam dolatywał nas lekki, ledwie dosłyszany klekot i niezmiernie długo trwał ten klekot głuchy, suchy, aż się zmienił zwolna w istny, zwyczajny turkot powozowy, i znowu po wielu, wielu chwilach mogłem rozpoznać ludzi w powozie będących.

Jakie tu wymiary gospodarzą, doznamy jeszcze dokładniéj, gdy choć jeszcze jeden z nich przytoczę. Uważmy, jako linja idąca na przestrzał, więc środkiem przez plac eliptyczny, daléj przez ów czworoboczny, następnie przez całą długość kościoła dosięga niesłychanéj długości 1690 stóp! Ten ogrom nam się unaoczni, jeżeli pamiętać będziemy, że jeden bok rynku Krakowskiego wynosi tylko około 600 stóp.

Droga galerjami aż przed kościoł jest przeto nie lada przechadzką. Ale gdy staniesz już bliżéj jego facjaty, jéj widok taki sam, jakim był wtedy, gdyś jeszcze stał na dalekim wstępie do placu samego. Bo szczegóły téj facjaty są tak olbrzymie, iż oddalenie straciło wszelką władzę swoją.

Ale—niestety! Dziś już wszystkie głosy, choćby najwięcéj pobłażające, wyznają, że kompozycja téj facyatj nie należy wcale do szczęśliwszych dzieł nowoczesnéj sztuki.

Wiemy, że każda facjata winna zostawać w związku organicznym z wnętrzem budowy, winna być jego zapowiedzią, więc podobną do uwertury, która objęła zarodem cały rozwój muzykalnéj kompozycji. Tym czasem szczegóły wystawy głównéj Śgo Piotra jako: gzemsa, pola, kolumny, okna, wnęki, ganki, atyki, szczyty, nie łączą się żadnym związkiem z wnętrzem kościoła, one są wymysłem kapryśnéj samowoli nieusprawiedliwionym żadną logiczną przyczyną (np. owo łamanie się, występowanie i cofanie gzemsów). Cała facjata jest jedynie olbrzymią, tytaniczną dekoracją.

W tém dziele znachodzimy wszystkie owe zachcianki, o których już mówiliśmy kilkakroć, charakteryzujące styl baroko. Prawda, że jak wiemy i wczesny Renesans puszczał często wodze swojéj fantazji, nie oglądając się na ścisłe prawidła logiki architektoniczněj, ale za to ten Renesans stwarza dzieła pełne wdzięku i uroku, a w najwyższym stopniu malownicze (np. w Wenecji). Przeciwnie Maderna uczynił rzecz mroźną, suchą, a co gorzéj, nietchnącą wcale wiarą i nabożeństwem, jakby na dzieło religjine przystało. Ta jego kompozycja mogłaby być z lekkiemi zmianami facjatą jakiegoś świeckiego budowania.

Ośmieliłbym się powiedzieć, że nasz kościół Śgo Piotra w Krakowie, lubo jest w porównaniu z Watykańskim miniaturowych wymiarów, a wystawiony w téj saméj epoce (1597—1619) i w tym samym stylu, odznacza się atoli facjatą głębszéj treści artystycznéj.

Gdy staniemy w dość jeszcze znacznèm oddaleniu od kościoła, już nie widzimy owego arcydzieła Michała Anioła, bo kopuły, będącéj istnym cudem architektury całéj nowoczesnych wieków. Jakoż wiemy, iż ramię wstępne zostało przedłużone wbrew planu Michała Anioła, a tak facjata zasłoniła kopułę, którą tedy jedynie w nader znacznéj odległości widzieć można w całym jéj majestacie.

A tém głębszym żalem rozbiera serce nasze widok téj wystawy, gdy pomyślimy, z jakiém niesłychaném wysileniem dokonano ogromu jéj. Bo wyobraźmy sobie: jéj szerokość przechodzi o wiele 336 stóp franc. a wysokość 135 stóp, pomnijmy że wysokość kolumn dosięga 84 stóp (półsiodma piętra, licząc w przecięciu po 13 stóp na jedno piętro), że średnica tych kolumn jest stóp 8, że każda z tych figur stojących na górze, na balustradzie jest wysoką na 17 stóp!

Gdy wielcy mistrze budownicy, jak Bramante, jak Giulio Romano tworzyli rzeczy drobnych wymiarów na wielką stopę, Maderna uczynił z budowy olbrzymiéj rzecz małą co do ducha.

Ale zapominamy o tych grzechach facjaty, gdy wstąpimy do przysionku, bo tu wysokości zawrotne a formy szlachetne, zacnie wróżą o niewidzianéj już nigdzie okazałości, tchnącéj w samem wnętrzu świątyni. I uważmy, ten przysionek tak wzniosły i wspaniały, jest także dziełem Karola Maderny.

Nad portalem głównym przysionku widzisz sławną Navicellę, to jest ową mozaikę Giotta, przedstawiającą kościoł w kształcie łodzi na rozhukaném morzu. Śty Piotr spieszy do Zbawiciela nad łodzią, szaleją wrogi kościoła pod postacią uosobionych wichrów, a tuż pod niemi unoszą się święte opiekuny wiary.

Była to chwila uroczysta, świąteczna gdy już stanąłem przed oponą zasłaniającą portal samego kościoła.

Przestąpiłem progi! Przestrzeń nieprzejrzana okiem, jakby osobny dle siebie świat, a państwo jakby Bożych cudów rozwarło się przed oczyma mojemi. Tam w dali zamglonéj jak w śręźodze staje ołtarz wielki pod wzniosłym baldakinem. Przed ołtarzem powyżéj posadzki, niby rój nieruchomych święcących robaczków błyszczą świetełka, a mówi ci przewodnik, że to są lampy wiecznie gorejące nad grobem Piotra Śgo. Oddalenie ogromne pogrążyło ołtarz i baldakin i lampy w atmosferze modrawéj. Po nad ołtarzem wzbija się ku niebu kopuła, ale jéj saméj jeszcze nie widzisz zatrzymawszy się niedaleko wstępu widzisz atoli, jako potoki świątliste z góry od niéj spływają na ołtarz, oblewając go jakby błogosławieństwa glorją. A ludzi mijających ołtarz ledwie odróżnić możesz, tak ich postacie zdrobniały, zmalały w sobie. A za ołtarzem za baldakinem, daléj a daléj ulatuje na skrzydłach podziwienia wzrok, tam budują się sklepienia pokrywające presbyterium, a jeszcze daléj lśni nyża przepychem. Ale sklepienia te i nyża i ołtarze oddaleniem zalane niby dymkiem błękitnym, złotym, zdają się być jedynie jakby przytłumionėm ginącém echem tych samych architektonicznych form, które zbliska grają całą potęgą. Spojrzałem wprost po nad siebie, tam u góry iskrzące w kassetony złociste sklepienia, po przez obłoczne tchy patrzą z wysokości zawrótnych na postacie ludzkie, ruszające się niby mrówki po kościelnéj posadzce.

Tak ogromny, tak wielki, tak wysoki

jest ten przybytek Boży! „Widzicie Signori“, odezwał się przewodnik, „widzicie tych aniołków dźwigających czary ze święconą wodą, ot tu i znów tam po drugiéj stronie kościoła, wszak one mają wymiary i figury i postacie dziatek drobnych! a zbliżmy się do nich.“ Szedłem i szedłem i rosły i rosły te pacholęta, a gdym tuż w obec nich stanął, przybrały ogrom wielce rosłego mężczyzny.



Wizerunek rzeźby Michała Anioła, zwanéj *Pietà.*

Filary potężne jak wiara, krągłe sklepienia, półkoliste łuki, arkady, przenikają cię poczuciem siły nadziemskiéj, a spokojem wzniesionym wysoko po nad sprawy doczesne a jednodniówki ludzkie. A zdala i zbliska, w głównéj nawie i w pobocznych nawach pilastry, kolumny koryncki, postacie rzeźbione aniołów świętych i znowu mozaiki lśniące drogim kamieniem, wysadziły przepychem te przestrzenie święte.

Odbyłem już znaczną drogę od progu wprost ku ołtarzowi, gdy mnie zatrzymał przewodnik, pokazując gwiazdkę metalową wpuszczoną w marmurową posadzkę; otóż oddalenie od tego znaku do końca kościoła równa się długości kościoła Śgo Pawła w Londynie i znów ruszyliśmy daléj, aż znów gwiazdka na posadzce, to znów długość katedry florenckiéj, potém znowu po kilkudziesięciu krokach znowu krecha oznacza długość katedry w Medjolanie, daléj znak wyrażający znowu długość przybytku Śgo Petroniusza w Bononji, a ostatni znak odnosił się do długości kościoła Śtéj Zofji w Konstantynopolu, który przecież sam jest cudem architektury starochrześcijańskiéj epoki.

Nie wiem jak długo szedłem ku ołtarzowi, bo nie mogłem się w sobie pochwytać ani upamiętać. Poruszony byłem do dna duszy i tym światem, który ze zewnątrz na mnie uderzał i samą myślą że jestem

wśród największéj, najwspanialszéj świątyni całego chrześcijaństwa, co stanęła na cyrku Nerona, na grobie Apostoła.

Zatrzymałem się pod kopułą w obec ołtarza wielkiego, nadnim w olbrzymie wymiary wzrosł baldakin z bronzu. Przed ołtarzem balustrada z barwnych marmurów otaczająca podziemną świetlicę do któréj zstępują podwójne schody z białego marmuru. Tam na dole Confessio, tam grób Piotra Śgo. Na balustradzie płoną dniem i nocą owe lampy osadzone w rogach okwitości ze złocistego spiżu. Tych nieśmiertelnych lamp jest ośmdziesiąt dziewięć. Z głębin świętych grobu znów wzniosłem oczy w górę po nad siebie, tam prawie w niedościgłych wysokościach wzbija się kopuła Buonarottego, a jeszcze powyżéj nad jéj sklepieniem druga maluchna (tak zwana latarnia) jakby ostateczny wysiłek ludzkiego ducha, tęskniącego ku gwiazdom.

Baczmyż, jako od posadzki kościoła aż do sklepienia téj kopułki małéj jest wysokości 405 stóp! Średnica zaś kopuły dochodzi 139 stóp, więc tylko o 3 stóp mniéj niż średnica Panteonu. A jak koroną a klejnotem całego tego przybytku olbrzymiego jest forma kopuły, tak też rozdzielenie jéj architektoniczne zaiste godne wielkiego mistrza. Jakoż bęben (tambour, walec, kubeł) jéj rozebrany na szesnaście par kolumn, (więc po dwie są złączone z sobą), a między każdą parą a parą świeci okno, tak tedy składa się wspaniały wieniec z okien i z kolumn. Sklepienie kopuły rozdzielone w sposób arcyszczęśliwy, bo od obwodu owéj małéj kopułki (latarni) spuszczają się pasy aż do spodu téj wielkiéj kopuły, a tém samém te pasy, które od saméj góry przy rozpoczęciu swojém są wązkie, nabierają coraz potężniejszéj szerokości. Tym trybem tedy owa linja saméj kopuły tak cudownéj piękności, uwydatnia jeszcze wdzięk swój, powtarzając się w tych licznych a wspaniałych pasach.

A jakąż wielmożnością tchną te cztery filary, które wznosząc się od posadzki, jak Atlas świat, dźwigają kopułę! Obwód każdego filaru obejmuje blisko 220 stóp, jest to prawie obszar sporego kościołka; w nich też umieszczone są schody prowadzące do kaplic we wnętrzu umieszczonych. Tak tu wszystko niesłychane, ogromne! majestatyczne! Otóż te filary olbrzymy, połączone są od góry również olbrzymiemi arkadami, na których stanęła kopuła. Między arkadą a arkadą błyszczą w krągłych medalionach wizerunki mozaikowe czterech Ewangelistów. Patrząc na takowe, zdaje się, że postacie ich są mało co większe od przyrodzonych wymiarów człowieka, aż tu nasz przewodnik tłomaczy, że pióro jednego z tych mężów świętych długie podobno na siedm stóp, a książka w rękach drugiego liczy sobie tyle stóp, a znów palec średni jego ręki innych podziwiających ogromem wymiarów. Trudno mi zrazu było objąć myślą i wyobraźnią te dziwy, które nam prawił, ale przypomniałem sobie owych aniołków z czarami, a uwierzyłem słowom jego.

Obok jednego z tych filarów a po prawéj stronie kościoła, na podnóżu znacznego wzniesienia, siadła postać samego księcia apostołów ze spiżu ulana. Baldakin jedwabny rozpięty ponad mężem świętym. Stopy Śgo Piotra spoczęły na takiém wzniesieniu od posadzki, że stoją prawie na równi z twarzą osób przechodzących. Ona niegdyś święciła się w dawnéj bazylice Śgo Piotra i pewnie przetrwała półtora tysiąca lat, więc nie dziw, że pokolenia po pokoleniach koło niéj przepływając a rzewnie całując stopy posągu, zostawiły ślady téj czci swojéj. I rzeczywiście! Wielki palec u prawéj stopy niemal w większéj części zniknął z upływem wieków, za dotknięciem się ust wiernych. Postać święta odziana ubiorem starorzymskim w lewéj ręce piastuje klucze, jako berło mocy sobie danéj a prawą podniosła błogosławiąc pokoleniom.

Jak pod względem religijnym posąg ten opromieniony jest świętością, tak pod względem sztuki waży wysokiém znaczeniem. Niewymowna a głęboka powaga tchnie w całéj postawie i przemawia w obliczu; draperja doskonale skomponowana, bo bogata i treści pełna, a przecież nie przesadzona.

Podanie ze starych wieków niesie, jako papież Leon Iwszy. Wielki (od r. 440-461) za przyczyną cudowną ŚŚ. Piotra i Pawła, oswobodziwszy Rzym od Hunów, ten posąg ulać rozkazał. Przemądre krytyki miały go jeszcze niedawno za dzieło pogańskiéj sztuki.

Ale dość spojrzeć na wzniesioną i błogosławiącą prawicę aby poznać myśl chrześcijańską. A lubo widać z tego dzieła iż w piątym wieku żyły jeszcze tradycje sztuki klassycznéj, że się nawet przechowała doskonała technika starożytna, przecież wedle mojego zdania nie trudno poznać, iż co do ducha a namaszczenia, ten posąg Śgo Piotra jest wskróś pokrewnym z postaciami, które widujemy na sarkofagach i malowaniach katakombowych. Są to tętna wiary które pulsowały w artyście, a tętnią jeszcze a przebywają jeszcze w téj postaci misterném życiem, a odgłosem tajemniczym.

Niedaleko od tego pomnika starochrześcijańskiéj sztuki widzisz drugie dzieło także spiżowe, a wykonane prawie 1,200 lat późniéj, jest to baldakin dźwigający się nad ołtarzem wielkim.

Te jego kolumny w śrubę skręcane a upstrzone kwiatkami, te u góry draperje bronzowe fantastycznie wykrygowane, te figury prawie teatralne i t. p. świadczą o smutném dziwactwie a bezuzdnéj swawoli sztuki 17go stulecia. Bernini w roku 1633 ulał ten baldakin z bronzu wziętego z ponad przysionka Panteonu i tém łupieztwem niecném i po niesłychanych wysileniach utworzył rzecz niepoczesną. Spiż użyty ku temu celowi ważył 186,000 funtów, robota kosztowała 40,000, a sama pozłota 60,000 skudów. Wysokość baldakinu przechodzi 87 stóp. Lubo tedy nie równa się wysokości pałacu Farnese, jak dawniéj mniemano, ale stanąć może śmiało obok niejednego z niepoślednich kilkupiętrowych pałaców, a nawet wolno mu się mierzyć z jakąś znakomitszą dzwonicą kościelną.

I zaiste, trzeba często i przez długi czas bywać w téj świątyni, aby się jakoś pochwytać w jéj tytanicznych wymiarach.

Mówiliśmy już powyżéj, jako ogromna stopa wszystkich szczegółów téj świątyni, ludzi wzrok jeszcze do nich nie nawykły, jako olbrzymie proporcje z razu nam się zdają być powszednich wymiarów, jako dalsze części świątyni i jéj sklepienia toną niby w mglistych oponach eteru. Podobnym złudom zwodnym oddany jest i słuch wędrowca. Przechodząc pewnego razu około kaplicy, śpiew nabożny wzbijał się silnemi, brzmiącemi lotami, wzlatywał pod sklepienia i roztrącał swoje tony o złociste, wzniosłe ściany, ale gdym stanął na drugim końcu świątyni, te śpiewy dochodziły mię tak przytłumione, przymdlone, że mi trudno było uwierzyć, że to są te same tony, które niedawno słyszałem w takiéj potędze i pełni, zdawało się, jakoby się odzywały gdzieś daleko za kościołem, daleko za ścianami jego.

Tak ten wielki a wspaniały przybytek Pański stanowi osobny dla siebie świat, osobny Kosmos, więc też się sądzi i rządzi osobnemi prawami, a opiera się na własnym majestacie swoim.

W katedrach mrocznych, gotyckich, patrzysz na ciżbę jednostkowych szczegółów, z których każdy pragnie być dla siebie oddzielną indywidualną całostką, z których każda przejęta nieukojoną bez granic tęsknotą, rada opuścić ziemię i wzlecieć modlitwą a hymnami ku Niebu, więc trzeba intuicji, zanim te pozorne zamęty gotyckie rozgarniesz i oczyma ducha dojrzysz mystycznéj harmonji i rozwiążesz te wzniosłe a tajemnicze jéj zagadki.

Inaczéj się dzieje w przybytku Śgo Piotra Tu panuje cisza i spokojny majestat, tu nie ma zagadek, tu tchnie wszędzie myśl widna, rozumowa, jawna; sklepienia, arkady, filary, belkowania, cokuły są jasno z sobą powiązane. Tutaj najdoskonalsze proporcje szczegółów ścisle ze siebie wynikają, każdy z tych szczegółów i formą, i rozmiarem swoim głosi jawnie konstrukcyjne znaczenie swoje. Przybytek ten jest jakby ziemskim odgłosem harmonji i proporcji, na któréj zbudowana świata wszechnica; jest jakby wiekuistym symbolem mądrości Bożéj.

Są tacy, którzy żałują, że wielki mistrz stworzył tym trybem watykańską świątynię, że potrzeba dopiero zastanowienia dłuższego i refleksji, by zrozumieć ogromne jéj wymiary; utyskują więc że szczegóły téj wspaniałéj budowy pozornie zdają się być nierównie mniejsze, niż są w rzeczywistości saméj, gdy wedle ich mniemania celem mistrza budownika być winno, aby raczéj jego dzieło architektoniczne wyda-

wało się pozornie większém, niż jest w saméj istocie. Co do mnie— mam przekonanie, iż podobne pozory a udawania większych wymiarów, nie zgadzają się ani z godnością sztuki prawdziwéj, ani z wiarą naszą, która jest wiekuistą prawdą. To udawanie pozorne byłoby też w brew przeciwne zacnéj a wzniosłéj dumie mistrza Michała Anioła. Tak jest, trzeba refleksji, która dopiero zwolna i krok za krokiem pochwytać się może i rozpoznać w tych olbrzymich wymiarach! Ale to właśnie idzie jedynie ztąd, iż najwyższa harmonja i najdoskonalsze proporcje władną w tym przybytku i że wszystkie szczegóły spływają ogólnym akordem w jedność a całość. Więc żaden z nich nie wyjawia zrazu rzeczywistego ogromu swojego.

Prawda, Michał Anioł Buonarotti, mógł był tém samém wysileniem a nakładem stworzyć całość pełną nieprzeliczonych szczegółów, choć mniéj olbrzymich wymiarów, — mógł n. p. wywołać las kolumn zwyczajnéj wielkości, a na nich osadzić znowu tłumy innych kolumn i t. d. wtedy zapewne widz wstępujący w te przestrzenie byłby odrazu jak błyskawicą uderzony w pierwszéj chwili ogromnością całego budowania. W takim atoli razie ginęlibyśmy w tym odmęcie szczegółów, niepokój wewnętrzny nie dałby nam się ukołysać, upamiętać. Przeciwnie obecna wielka a pełna prostoty kompozycja Watykańskiéj świątyni, czyni ją podobną do gwiazdzistych nieba sklepień, co także są Pańskim przybytkiem! Wszak patrząc na owe maluchne iskry mrugające na Niebie, trzeba ci równie refleksji przypominającéj, że temi świecącemi pyłkami są słońca, są światy, że ich żywot liczy się na wieki wieków — że oddalenia jednych dochodzą milionów mil — że dla odległości drugich giną dla ludzkiego rozumu wszelkie miary— i że przecież zakon Pański, pełen prostoty a harmonji, piastuje tę bez granic, tę bezdenną budowę. Oto ten sam Michał Anioł, który począł w głębinach ducha swojego ten Boży dom, wywołał w Syxtyńskiéj kaplicy owe sercem wstrząsające obrazy. Tam widzisz świata stworzenie! I Boga, jak rozdziela światło od nocy, wody od lądów, widzisz proroków patrzących w głębie tajemnicze przyszłych losów świata— i patrzysz na żywych i umarłych w obec ostatecznego Sądu.

Taką jest świątynia Watykanu w Rzymie. Więc też w niéj, co jest jakby wszech świata ziemskim wizerunkiem, płonie ognisko wiary Zbawiciela dla wszech ludów chrześciańskich. Patrz— w obu ramionach poprzecznych stanęły szeregi i znów szeregi konfessjonałów, a na każdym z nich napis głoszący, jakiemu ludowi na ziemskiéj kuli, jakiéj mowie jest poświęcony. I wyczytasz imiona ludów wszystkich części świata.

Jak w tym przybytku przestrzenne wielkości nie mierzą się powszednią miarą, tak i czas mierzy się tu nieskończoném trwaniem. Obrazy, które widzisz w ołtarzach, nie są malowane farbami, co więdną i gasną w czasie— obrazy w ołtarzach złożyły się z mozaiki wieczno-trwałéj. Tak Transfiguracja Rafaela, Komunja Ŝgo Hieronima przez Domenichino i świetniejsze dzieła Cammucciniego, oddane są nieśmiertelnemu żywotowi.

Geniusz Michała Anioła rozlany pulsującém życiem we wszystkich przestrzeniach tego przybytku, uosobił się w dziele rzeźbioném. W jednéj z kaplic jaśnieje w marmurowéj bieli arcydzieło „Pietà” zwane. Na łonie Panny Najświętszéj spoczął Zbawiciel umarły. Cała postać Boga-Rodzicy ubrana w draperją fałdzistą, sutą, która cudownie rysuje się obok postaci synowskiéj, prawie bezszatnéj. Matka Święta podtrzymuje prawą ręką ramię Pańskie, a lewą zlekka podniosła, jakby sama do siebie przemawiała o nieskończonéj boleści swojéj. Jednak postać Chrystusowa nie jest ciałem umarłego, śmiertelnego człowieka — ona nie ciąży, nie jest martwą— jest uwidomieniem żywéj, wiekuistéj prawdy.

Michał Anioł był jeszcze młodym, gdy wykonał tę niebiańską gruppę — jeszcze wtedy nie był wstąpił w jego dłuto ów duch niepokoju, który miota, szamoce późniéj dzieła jego.

Teraz wyprowadzam już z sobą czytelnika na najwyższe wzniosłości kościelne!

Gdy wstąpisz na ów tak płaski dach kościoła Ŝgo Piotra, stajesz w osłupieniu.

Zdaje ci się na prawdę, żeś w obec rynku jakiegoś małego miasteczka, bo tu na téj olbrzymiéj, równéj przestrzeni, widać rzędy kopuł, szeregi domostw, budynków, z których jedne są przytułkiem dla robotników, inne są składem sprzętów budowniczych, znowu inne chowają w sobie tysiące a tysiące lamp, kagańców, a przyrządów służących do owego cudnego przepychu oświetlenia kopuły w dnie uroczyste. A w środku tego miasteczka, zmurowanego wysoko po nad powszednie mieszkania ludzi, kopuła w pogodnym majestacie spina się ku gwiazdom, jakby niebolotny psałterz Boży. Jest to najwspanialszy ołtarz miłości, który dźwignął geniusz imieniem rodu ludzkiego na cześć Panu.

A jakże prostemi a niewyszukanemi środkami wykonano tak wielką sprawę! Podwyższenie ośmioboczne 572 stóp obwodu mające— na niém podnóże uwieńczone silnym gzémsem — na tém podnóżu okrągły, walcowaty bęben (tambour) — w nim szesnaście okien oświeca wnętrze. Między oknem a oknem filar przyporny. W tych filarach jest otwarte przejście a tym trybem wykonane, iż cały ten okrągły walec w około obejść możesz. Każdy filar zdobny z przodu we dwie kolumny korynckie. Głowice (kapitele) zaś tych kolumn obiega u góry belkowanie, na którém stanęła wieńcem atyka, rozdzielona na pola, strojna zwojami kwiatów i owoców. Od téj atyki dopiero wznosi się we wysokości bania właściwa o tych cudownych konturach, którym nie podoła żadne wykreślenie, żaden kalkuł matematyczny; są to kontury ze swobody żywego ducha a nie z cyrkla zrodzone. Na szczycie bani staje owa powyżéj wspomniana latarnia, niby zdrobniałe powtórzenie saméj kopuły, więc i ona również otoczona szesnastu parami kolumn jońskich, dźwigających jéj atykę. Na latarni dach stożkowy — na nim kula — na kuli stanął krzyż jak przysięga ziemi całéj ślubującéj, że nie odstąpi wiekuistych prawd.

Wstąpiliśmy w same mury kopuły, a nie zadługo wyprowadził nas przewodnik na ganek otaczający kopułę ze strony wewnętrznéj kościoła. Tutaj już widok z góry w kościół, na jego ołtarz, na rozłożyste obszary jego przestrzeni oczynia cię podziwieniem. Stojąc tu, na tym ganku, dopiero widzisz w prawdziwych wymiarach owe wspomniane powyżéj obrazy olbrzymie mozaikowe Ewangelistów, umieszczone w miejscach, z których się nad filarami rozchodzą arkady dźwigające kopułę. Te mozaiki z dołu wydają się tak gładkie, jakby pędzlem malowane, ztąd zaś okazują nam wyraźnie spore kamyki, z których się składają, więc mają wejrzenie surowe a szorstkie. Tu również sąsiadujesz z postaciami, które lśnią we wnętrzu kopuły; one widziane teraz w pobliżu jakieś groźne i straszące, jakby tajemnicze Apokalypsy widzenia.

I znowu po wygodnych schodach, umieszczonych we wnętrzu murów kopuły, wstępujemy na coraz wznioślejsze wysokości, aż nas przewodnik wyprowadzi na ganek drugi, także na wewnętrznéj stronie kopuły umieszczony, ale już nie równie wyżéj zawieszony w powietrzu niż tamten pierwszy. Z tego ganku wznoszącego się nad otchłanią, spogladamy w dół, kędy w zawrotnych, przepaścistych głębiach rozlega się całe wnętrze kościoła. A owe przedmioty, które widziane z dołu zdawały się tak niesłychanéj wysokości, teraz gdzieś tam w otchłani pozostały. Pozostał gdzieś w niziuchnéj głębi ów baldakin spiżowy; on teraz zniżył się w karła, a przecież piętrzy się, jak wiemy, do pałacowéj wysokości! Trzeba było perspektywki, by rozeznać szczegóły na dole. Przez kościół ciągnie procesja, nabożni przesuwają się maluchni jak mrówki po posadzce kościelnéj. Ci ludzie zapewne kroczą zwykłym chodem, a jednak w porównaniu do całego ogromu przestrzeni zdaje się, że pełzają ruchem arcypowolnym, bo na nich teraz patrzymy z wysokości, z któréj wszystkie wymiary kurczą się w miniaturę drobiazgową. Śpiewy procesji wzlatują do nas przycichłém echem, jakby pieśni z poza borów i gór.

Porównywając dość ściśle wysokości, mam przekonanie, że ten ganek jest umieszczony wyżéj nad posadzką kościelną, niż okienka trębacza w naszéj krakowskiéj wieży marjackiéj nad brukiem rynku, a jednak z tych okienek widzisz rozesłany cały nasz

gród stary, widzisz i w koło mogiły jego i wioski i mappę wielumilową kraju [1]).

Opuściwszy ten ganek, znowu wstępujemy w mur kopuły, wyżéj i wyżéj prowadzą w nim schody aż stajemy pod latarnią, a nakoniec pod ową gałką czyli kulą metalową. Po drabinie żelaznéj wpiąłem się do jéj wnętrzna, które tak obszerne, że szesnaście osób w sobie pomieścić może. Ale niepodobna ani kilka minut tu przeczekać, bo metal rozpalony słońcem, więc upał jak w hucie piecze i praży — zabrakło tchu, pulsa zakipiały. Czém śpieszniéj zestępujemy po owych szczeblach żelaznych i stajemy znów na latarni.

Wgłębi zapadłéj rozległ się nowoczesny Rzym. Bijąfalą kamienną rynki, ulice i domy, mieszkania i świątynie obecnie żyjącéj społeczności.

Ten Rzym nowożytny rozesłany wgłębi tchnie pokojem i ciszą, jak już żaden inny gród nowoczesnego świata. Jakoż charakterem dziś żyjącego Rzymu jest nieskończona ilość kopuł a prawie zupełny brak wież, które po innych stolicach strzelając w górę, ruszają się tłumem niespokojnym piramidek, iglic, szczytów. Tam daléj za obecnym Rzymem legły cmentarne pagóry dawnéj świata stolicy — daléj jeszcze w słońcu rzeźbi się przepychem poważnych barw jakby ze spiżu wyrobiona Campagna — a jeszcze daléj gdzieś tam pod samém niebem błyszczy srebrném zwierciadłem morze. Tak ze szczytu najwznioślejszéj świątyni chrześcijańskiéj panujesz okiem nad śródziemnemi wodami, co widziały i zrodzenie i tryumfy Romy i śpiewały psalmy pokutne konającéj, niegdyś świata mistrzyni.

A tu przed nami ta kopuła kąpiąca się w słońca promieniach, niby płomień ofiarny ludzkiego rodu. W głębi pod kopułą—w głębi pod kościołem, w ciemnych podziemiach jaśnieje w światłościach i na wieki wieków żyje i żyć będzie umarły. Tam w głębi mieszka tryumfator-rybak Boży, co jest opoką, na któréj Pan dźwignął kościół swój, na któréj spoczęły prawdy Niebios i Ziemi i żywotne zakony gwiazd i ludów; prawdy, których nie przezwyciężą żadne złości ludzkie, ani bramy piekielne.

Rozłożyły się w ciszy świątynie, pałace, ulice, domy nowożytnéj Romy, a znów sterczą samotnie, butnie, zwaliska prawiekowych dziejowładzców, dawno przebrzmiałych. A tak owe dwie olbrzymie połowy ludzkiéj historji, snują się przez duszę naszą — a dusza jakoby tracąc pamięć jednostki swojéj, objęła w sobie w jednéj chwili, i przeszłość zapadłą i przyszłość jeszcze nie poczętą.

[1]) Najwyższy punkt kopuły Śgo Piotra wznosi się 405 stóp paryzkich, a lubo ganek zamieszczony w jéj wnętrzu znajduje się nie równie niżéj, przecież owe okienka w naszéj wieży marjackiéj wznoszą się około 156 stóp nad bruk. Bo część murowana wieży téj dochodzi 163 stóp, a wiązanie piramidalne jéj, okryte metalem strzela jeszcze do wysokości 93 stóp, tak iż cała nasza wieża, choć tak wzniosła, liczy tylko do 255 stóp,

---

ZAŚLUBINY KRÓLOWÉJ ELŻBIETY.

Według świadectw ówczesnych kronikarzy, Elżbieta, córka cesarza Alberta, czeskiego i węgierskiego króla, zaślubiona naszemu Kazimierzowi Jagiellończykowi, była jedną z najzacniejszych i najpobożniejszych niewiast swego stulecia. „Jéj to powiększéj części dziełem, (mówi Karol Szajnocha) były błogie owoce edukacji dzieci królewskich, jéj spuścizną świętość Kazimierza, dobrotliwość Władysława, mądrość Zygmunta. A ponieważ przedewszystkiem osobiste zalety Jagiellończyków zjednały im życzliwość i trony ludów ościennych, zapewniły rządzonym przez nich państwom, jak mianowicie państwu Zygmuntowemu, wiekopomną pomyślność, przeto i na te coraz dalsze i wspanialsze wynikłości historyczne, na szerokie rozpostarcie się domu Jagiel-

lońskiego, na szczęśliwy los Polski pod Zygmuntami, wpłynęła niemało pieczołowitość królowéj.“

Łatwo odgadnąć, że kobiéta która umiała wywrzeć na synów swych wpływ tak błogi i przeważny, oprócz zalet serca, posiadać musiała wyżéj wykształcony umysł. Jakoż tak było wistocie, lubo Elżbieta straciwszy w pierwszém dzieciństwie oboje rodziców, zaznała wszystkie troski i gorycze doli sierocéj, niezbywało jéj jednakże na środkach nabywania obszerniejszych wiadomości, a tém samém rozwijania wrodzonych darów ducha. Znana wtedy ze światła i nauki Helena Kottaner, która spisała pamiętniki o swoich czasach, była mistrzynią młodéj królewnéj, kształcąc ją według przepisów wychowania, które uczony Hinterbach ułożył dla sierot cesarskich. Na prożby kanclerza Kaspra Schlicka, Eneasz Sylwiusz Piccolomini, późniejszy papież, a wówczas sekretarz cesarza Fryderyka IIIgo, napisał księgę: *o wychowaniu dzieci*, poświęconą bratu Elżbiety, Władysławowi zwanemu Pogrobowcem. Przyszła królowa polska, pilnie się w nią musiała wczytywać, bo pierwsze wychowanie własnych synów opierała na mądrych prawidłach w niéj zawartych. Księga ta musiała być również dla niéj wzorem wtedy, gdy sama kreśliła czy też skreślić przy sobie kazała pismo o wychowaniu dzieci królewskich, w kształcie listu do najstarszego syna Władysława czeskiego i węgierskiego króla, swieżo ożenionego wtedy z Anną, hrabianką d'Angoulême [1]). Ale wróćmy do młodych lat królowéj Elżbiety, aby przejść następnie do uroczystości jéj zaślubin, która miała być przedmiotem naszego opowiadania. W pierwszym roku życia królewnéj, Kazimierz królewic polski, zgłosił się o jéj rękę, gdy zaś otrzymał odmówną odpowiedź od dziada jéj, cesarza Zygmunta, po śmierci tegoż, we trzy lata potém, ponowił swe żądanie. Cesarz Albert byłby chętnie przyjął za zięcia Kazimiera Jagiellończyka, gdyby mu w tém nieprzeszkodziła śmierć przedwczesna. Po śmierci ojca, zaręczono niebawnie młodą księżniczkę z Fryderykiem księciem saskim, lecz gdy tenże niezadługo potém umarł, Kazimierz po raz trzeci zgłosił się w chęci zmówienia sobie czteroletniéj pod ów czas Elżbiety. Matka jéj, podobnie jak ojciec, nie była przeciwną temu lecz również śmierć jéj, która wkrótce nastąpiła potém, zerwała wszystkie układy. Wytrwały w swém przedsiewzięciu Kazimierz, wstąpiwszy na tron polski, wysłał znów poselstwo do Władysława, brata piętnastoletniéj już księżniczki i opiekuna jéj Ulryka hrabi Cylejskiego, z oświadczeniem że ją chce pojąć w małżeństwo. Tą razą osiągnął cel swych życzeń i wyznaczono zjazd poselski w Wrocławiu, dla zawarcia ostatecznéj ślubnéj ugody. Bielski tak opisuje zjazd ten w swéj kronice. „Wysłał był król posły swe, do Ładysława króla węgierskiego i czeskiego, kujawskiego i poznańskiego biskupy i Jana Czyżewskiego kasztelana, z Janem Tęczyńskim wojewodą krakowskim i Jana Koniecpolskiego kanclerza i Dzierzka Rytwiańskiego kasztelana Rosperskiego i dwóch panów litewskich Andrzeja Szukowicza starostę połockiego, z Janem Niemirowiczem, których wszystko było dwanaścieset koni, zmawiać siostrę jego Elżbietę, gdzie wdzięcznie byli przyjęci, a małżeństwo dziesiątego dnia było konkludowane we Wrocławiu na ratuszu. Po królewnie miano dać sto tysięcy posagu, tym sposobem aby się nigdy w dom Rakuski nie wracał, chociażby potomstwa niemiała, wszakże jéj tego niedano, a król jako posłowie obiecali, zapisał jéj wiano na trzech zamkach i pięć tysięcy złotych, na Żupach Bocheńskich i Wielickich brać co rok pozwolił. Zaczem była przeprowadzona księżniczka do Cieszyna, a stamtąd do Krakowa. Posłowie do Krakowa prosto jechali, wziąwszy z sobą z Wrocławia Jana Kapistrana, mnicha bernardyna, człowieka świętobliwego żywota i kaznodzieję niepospolitego, przeciw któremu królowa Zofja i kardynał Zbiszek, (Zbigniew Oleśnicki) ze wszystkiém duchowieństwem wyszli i wprowadzili go do miasta, potém zbudowano mu majestat, na rynku krakowskim blisko kościoła Śgo Wojciecha, gdzie nieumiejąc

[1]) Pismo to, w łacińskim języku, znajduje się obecnie w oryginale, w bibliotece cesarskiéj w Wiedniu, w odpisie zaś jest w Zakładzie Ossolińskich, we Lwowie. Karol Szajnocha przypisuje je saméj królowéj, lub też mniema że pisane było z jéj natchnienia przez drugą osobę.

po polsku, przez tłomacza nauczał słowa Bożego. Cisnęli się do niego ślepi, chromi, kulawi, a on ich uzdrawiał cudownie, wielu też do zakonu jego przystało ludzi znacznych, a między niemi Jan Melsztyński, Leliwczyk, młodzieniec bardzo bogaty. Kardynał Zbiszek zbudował im kościół na Stradomiu.“ Niezadługo zapewne po przybyciu do Krakowa Śgo Jana z Capistrano, złotogłowiu pereł i drogich kamieni. Sam ubiór króla szacowano na 40,000 złp. Stosunkowo i ubiory niewieście świeciły wówczas przepychem, w każdém ważniejszém wystąpieniu; przepych ten jednakże niepodkopywał dobrego bytu rodzin i owszem pomnażał go, albowiem bogaty strój matki przechodził na córkę, a następnie na odległe wnuki, niezaopatrzano się bowiem



przyjechała tamże oblubienica królewska. Rycina nasza, która jest dla czytelników Kółka dalszym ciągiem podawanych już nieraz dawnych ubiorów polskich, przedstawia chwilę, w której król Kazimierz wita Elżbietę u bram miasta, wraz z matką królową Zofją, oraz licznym pocztem ludzi orężnych, mieszczan, szlachty i panów koronnych, w bogatych strojach lśniących od w przedmioty ulegające prędkiemu zniszczeniu, a kroje sukien, ani używane na nie tkaniny, przez wieki całe nie podlegały zmianom. Druga rycina nasza przedstawia ubiory dworskie z czasów zaślubin Kazimierza Jagiellończyka.

Na drugi dzień po wspaniałym wjeździe Elżbiety, wszczął się spór pomiędzy dostojnikami kościoła, kto miał błogosławić

królewskim narzeczonym. Kardynał Zbigniew przyznawał sobie to prawo jako biskup krakowski, a zatém niejako gospodarz w świątyni wawelskiéj; biskup zaś gnieźnieński jako prymas państwa, dopiero Śty Jan z Capistrano pogodził ich, ofiarując się sam ślub dawać. Rozpoczął też niebawnie obrzęd, niemógł go jednakże dokończyć dla nieznajomości języka tak polskiego jak niemieckiego „więc w imieniu jego (mówi Bielski) kardynał Zbiszek, ślub dawał, a arcybiskup koronował królowę. Potém szli wszyscy z kościoła na zamek gdzie byli z sobą dobréj myśli i gdzie przez kilka dni były rozmaite gry, gonitwy i tańce sprawowane. Nazajutrz po ślubie król dawał posłuchanie posłom pruskim, z któremi jeszcze przed tém jak powiada Bielski „zjechał się był w Sandomierzu, ale ich słuchać niechciał bo się na wesele spieszył.“ Poselstwo to przybyło w celu uroczystego poddania Kazimierzowi Prus srodze uciśnionych przez krzyżaków, składało się z czterech szlachty, trzech burmistrzów, czterech rajców miejskich i jednego knechta. Obecny był podówczas na godach królewskich Tressler podskarbi zakonu a znim kilku rycerzy. Jęli też zaraz czynić starania aby przeszkodzić królowi do objęcia ofiarowanéj mu władzy. Chcieli znacznemi summy przekupić panów radnych a gdy im się to nieudało, weszli w zmowę z Piotrem Szafrańcem słynnym z rozbojów Pieskowéj skały dziedzicem, aby im stronnictwo utworzył i rozruchami w Polsce wstrzymywał rzecz całą. Wkrótce jednakże wydały się wszystkie ich zamiary i podwoiły jeszcze i tak już ogólną niechęć dla zdradzieckiego zakonu [1]).



Bóg pobłogosławił widomie zaślubinom Elżbiety i Kazimierza, obdarzając młodych małżonków licznym wieńcem córek i synów. Dwoje tylko z dziatek królewskich zmarło w dziecinnych latach, pod bacznym zaś okiem rozumnéj i bogobojnéj matki wychowało się sześć córek i pięciu synów, którzy, jak pięknie mówi Szajnocha „ujmującą postawą i nadobném zachowaniem się, przy boku ojca, zachwycali cudzoziemców odwiedzających dwór królewski zanim jeszcze jeden z nich został świętym, a drugi wiekopomnym ojcem swego narodu.“

A. z Ch. Borkowska.

[1]) Wkrótce potém, król wraz z młodą królową obejmował Prusy i odprawiał wjazd tryumfalny do Torunia, poprzedzony rycerstwem i sześcią nadwornemi chorągwiami. Na rynku wystawiono tron wspaniały i wojewoda Gabriel Baisen, z rycerstwem i miastami nowego województwa chełmińskiego, na znak uznania władzy, złożywszy siedzącemu królowi do stóp chorągwie, przysięgę na wierność wykonali, poczem w kościele *Te Deum laudamus* spiewali. Takiż sam hołd odbierali królestwo w Elblągu.

KAROL DICKENS I JEGO POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH.

(Ciąg dalszy).

— Często panowie z domu Tellsona zatrzymują się u nas w podróży z Londynu do Paryża.

— Nasz dom handlowy ma czynności zarówno duże w Londynie jako też w Paryżu.

— Tak panie, ale mi się widzi że pan nie podróżujesz często?

— Już lat piętnaście upływa, odkąd po raz ostatni przyjechałem z Francji.

— Jezeli tak dawno panie, to oberża nasza była wtenczas w innych rękach.

— I mnie tak się zdaje.

— Gotówbym pójść o zakład że dom handlowy Tellsona istnieje już z lat pięćdziesiąt.

— Jeżeli przez trzy pomnożysz i powiesz lat sto pięćdziesiąt, w tedy nieskłamiesz.

— Tak oddawna panie?

To powiedziawszy cofnął się numerowy o kilka kroków, a przełożywszy serwetę z prawéj ręki na lewą, stanął z tyłu za gościem, dając wielkie baczenie na każdy ruch jego.

Po skończoném śniadaniu pan Lorry przechadzał się, poczem powrócił znów do oberży i zasiadł do obiadu. Kiedy nasz podróżny spełniał ostatnią szklanicę wina, usłyszał turkot powozu i zawołał natychmiast: — To pewnie ona przyjechała.

Nie omyliło przeczucie pana Lorry, bo w tejże chwili wszedł odźwierny i oznajmił że panna Manette przybyła z Londynu i oświadczyła że życzy widzieć się z ajentem domu Tellsona.

— Czy zaraz?

— Tak jest, mówi że jest już po śniadaniu i że pragnie niezwłocznie pomówić z panem.

Nie namyślając się długo, wychylił Lorry do dna szklanicę wina, którą trzymał w ręku, i poszedł za odźwiernym do pokoju, który zajmowała panna Manette.

Komnata do któréj wszedł ajent domu Tellsona była tak ciemną, że długo nie mógł dostrzedz nikogo i dopiero zbliżywszy się do komina, ujrzał tuż przed sobą siedzącą w podróżném ubraniu młodą niewiastę, która trzymała dotąd słomiany kapelusz w ręku. Oko jego spoczęło na złotowłoséj z błękitnemi oczami dziewicy i dostrzegł, że wyraz jéj oblicza był odbiciem w téj chwili różnych wrażeń duszy. Zauważał pan Lorry podobieństwo jéj do dziecka, które przed kilkunastu laty piastował na swoich rękach i z którém przepływał kanał w burzliwéj zimowéj porze. Ale niedługo zastanawiał się on nad tém podobieństwem i skłonił jéj się poważnie, zaczem ona pierwsza tak rozpoczęła rozmowę:

— Proszę, siądźcie obok mnie łaskawy panie, powiedziała słodkim głosem, z cudzoziemskim trochę akcentem.

Pan Lorry ukłonił się znowu i usiadł.

— Odebrałam list wczoraj, w którym zawiadamiają mię o odkryciu, które ma się dotyczeć spadku po moim biednym, dawno już zmarłym ojcu.

Pan Lorry poruszył się z niespokojnością na krześle.

— Donoszą mi także: że powinnam pojechać do Paryża i że w tym celu wypada mi się udać do ajenta banku, który tak jest dobry, że obiecał mi towarzyszyć w podróży.

— Ja nim jestem pani.

— Tak mi donoszą.

To powiedziawszy ukłoniła mu się uprzejmie i on odkłonił się wzajemnie.

— Odpowiedziałam na to wezwanie że dziękuję serdecznie za udział w mojéj sprawie, a ponieważ jestem sierotą, z wdzięcznością przyjmuję opiekę pana, którego poleca mi dom Tellsona.

— Chętnie przyjąłem włożony na mnie obowiązek a jeszcze z większą przyjemnością wywiążę się z niego.

— Całem sercem dziękuję panu. Ale donoszą mi jeszcze: że masz mi pan udzielić dotyczące się tego interesu objaśnienia, które mają mi sprawić wielką niespodziankę, przyczém polecają mi ażebym przygotowała się do bardzo ważnego odkrycia,

które mi pan masz zrobić; jestem więc gotową i czekam niecierpliwie.

— Dobrze, słusznie pani mówisz — rzekł pan Lorry, ale zatrzymał się nagle i poprawił perukę, poczem dodał: „najtrudniéj jest zacząć;“ jakoż w saméj rzeczy nie zaczynał wcale pan Lorry, ale tylko patrzał się na twarz dziewicy, która w téj chwili dziwny przybrała wyraz. Panna Manette podniosła rękę w górę i zatoczyła w powietrzu koło, jakby mimowolnie goniła za jakimś cieniem, poczem rzekła: — Czy jesteś pan zupełnie obcą dla mnie osobą?

— Czyż znałaś mię kiedy pani? I wyciągnął ku niéj pan Lorry ręce ze znaczącym uśmiechem.

Wyraz zamyślenia jeszcze głębiéj wyrył się w licu dziewicy, która usiadła w téj chwili na stołku, a skoro podniosła znów oczy, on rzekł:

—Panno Manette, ja działam w urzędowym charakterze ajenta domu Tellsona. Proszę, uważaj mię tylko za machinę, która wykonywa wolę innych; jeżeli więc chcesz opowiem ci pani przygody jednego z naszych interesantów.

— Przygody!

Jak gdyby chciał zagładzić wrażenie, wywołane wyrazem który powtórzyła dziewica, dodał prędko: — Tak, nazywamy interesantami wszystkich, którzy mieli związek z naszym domem. Ten pan, o którym mam mówić, był obywatelem francuzkim i bardzo zdolnym doktorem.

— Czy nie pan Beauvais?

— Tak jest, jak ojciec pani Manettem, ten obywatel nazywał się Beauvais, a ich imiona zarówno były znane w Paryżu i ja miałem także zaszczyt znać go zbliska. Znajdowałem się wtenczas w naszym francuzkim handlowym domu i łączył nas obydwóch wspólny interes.

— Jak dawno to miało miejsce panie?

— Przed dwudziestu laty. On ożenił się z angielką, a ja miałem jego interesa w moich rękach, tak samo, jak wielu innych obywateli, którzy pokładali zupełnie zaufanie w domu Tellsona. Zrozumiesz pani łatwo że nas łączył tylko interes prosty, z którym uczucie takie jak naprzykład przyjaźń, nie miało żadnego związku! Z końcem interesu kończyła się nasza znajomość, a ja z urzędu mego miałem znów do czynienia z innemi ludźmi, bo tysiące interesów przeszło przez moje ręce i ciągle jeden stosunek zamieniałem na drugi; słowem, ja niemam uczuć i jestem najzupełniejszą machiną. Teraz daléj.

— To ma być historja mojego ojca — zawołała panna Manette zatapiając w licu pana Lorry wzrok badawczy; ale pozwól że cię zapytam panie: czy mię mój domysł nie zwodzi, że kiedy zostałam sierotą po śmierci matki, która tylko o cztery lata przeżyła ojca, wtedy ty mię przywiozłeś do Anglii?

Pan Lorry wziął drobną rączkę dziewicy i do ust przycisnął, poczem odprowadził ją do krzesła, a stanąwszy z boku, oparł lewą rękę na poręczy i patrzał się na nią pilnie, kiedy ona także spoglądała na niego ciekawie.

— Tak panno Manette, to byłem ja. Skoro pomyślisz że od tego czasu ani razu nieodwiedzałem cię pani, łatwo możesz wyprowadzić wniosek, że prawdę mówię, jako nie mam żadnych stosunków przyjaznych i że sam interes tylko łączy mię z ludźmi. Odtąd byłaś pod opieką domu Tellsona, ale ja, będąc innemi zatrudniony interesami, zapomniałem nawet o tobie. Nie bierz mię więc pani za człowieka z sercem, bo nie doświadczam żadnych czulszych uczuć w mojém życiu, ani nawet nie mam czasu na to; całe życie moje przepędzam na obracaniu ogromnego pieniężnego kołowrotu.

Po tym niekorzystnym opisie własnéj osoby, pogładził pan Lorry perukę i przybrał dawną powierzchowność.

—Domyślasz się pani że ci zaczynam opowiadać historję przygod twojego ojca, ale teraz usłyszysz powieść, któréj dotąd nieznasz wcale. Jeżeliby twój ojciec nie umarł a żył jeszcze dotąd...... Ale nie lękaj się na Boga! czemu tak zadrżałaś moja młoda pani? Wprawdzie usłyszawszy te wyrazy, dziewica zadrzała gwałtownie i uścisnęła dłoń pana Lorry.

— Proszę cię, uspokój się pani, rzekł Lorry słodkim głosem, kładąc rękę na dłoni dziewicy, proszę cię, nie trwóż się wcale, jest w tém prosty interes tylko, jak już powiedziałem.

Tu wzrok dziewicy zmięszał szyk opowiadania panu Lorry; zatrzymał się i dopiero po chwili tak rozpoczął:

— Jak już powiedziałem, jeżeli ten pan Manette nie umarł ale zniknął tylko nagle, tak że nikt nie mógł wyśledzić miejsca, w którem się znajduje, jeżeli znalazł nieprzyjaciela w swoim rodaku, który mógł go zamknąć w tajemniczém więzieniu na czas nieograniczony, tak że ani błagania przyjaciół, ani łzy żony, która wzywała litości króla i dworu nie mogły wyjednać mu łaski, wtenczas wiedz pani, że przygody tego nieszczęśliwego pana Manette są historją doktora Beauvais.

— Zaklinam cię panie, mów, mów dalėj

— Powiem ci wszystko, ale czy potrafisz wysłuchać mężnie mego opowiadania do końca?

— Co bądź wypadnie, zniosę wszystko mężnie, prócz niepewności.

— Teraz mówisz pani rozsądnie, co mię bardzo cieszy. Uważaj pani całą tę sprawę jak każdy inny interes, który trzeba załatwić Otóż żona doktora, chociaż była to niewiasta wielce mężnego serca, cierpiała dużo z tego powodu przed wydaniem na świat dziecka.

— To dziecko było córką, panie.

— Tak jest to dziecko, było córką. Otóż ta matka pragnąc oszczędzić cierpień biednemu dziecięciu, ukrywała przed niém prawdę i mówiła mu zawsze, że ojciec już nie żyje. Ale nie klękaj przedemną pani, jakiż masz powód na Boga, nie klękaj przedemną!

— Mów jak było, o drogi, miłościwy panie, nie ukrywaj nic przedemną, a opowiedz mi wszystko co wiesz z całą prawdą!

— Dobrze, dobrze, lecz bądź mężną pani, masz bowiem przed sobą wielkiéj wagi interes. Tak jak powiedziałem, postąpiła z tobą matka, a kiedy umarła niepocieszona, jak się zdaje na chorobę sercową, zostawiła cię dwuletniém dziecięciem, i rozkwitałaś spokojnie, piękna i szczęśliwa i czoło twoje niezasępiło się ani razu, chmurą niepewności o losie twojego ojca.

Tu przestał znów mówić pan Lorry i spójrzał się na złotowłosą głowę dziewicy, jakby litował się nad nią, że tak piękna i młoda, może się pokryć przedwczesnym szronem.

— Wiedz pani że twoi rodzice nieposiadali nigdy wielkiego majątku, a wszystko co mieli to było twojéj matki i jest dzisiaj twoją własnością, o żadnym spadku nic nie wiemy, ale...

W téj chwili poczuł pan Lorry silniejsze ściśnienie ręki i przestał mówić dalėj.

Na twarzy dziewicy malowało się uczucie bólu i zgrozy.

— Ale bądź spokojną, bo ojca twojego odszukali już pani; zapewne wielce jest zmieniony, bo dużo wycierpiał, ale mamy pewną wiadomość że żyje. Stary sługa twojego ojca wziął go do swego domu w Paryżu, więc nam wypada teraz udać się tam natychmiast. Ja mam sprawdzić tożsamość jego osoby, ty powinnaś go otoczyć czułością, pociechą i przywrócić go do życia.

Dreszcz przebiegł po całem ciele dziewicy, a konwulsyjne jéj drżenie poruszyło także do głębi pana Lorry. Ona mówiła cichym przerywanym głosem jak w śnie niespokojnym.

— Boże mój! mam więc zobaczyć cień jego, nie mego ojca, nie, ale cień jego tylko.

Tu pan Lorry zawołał tryumfującym głosem: Widzisz pani że wszystko już ukończone. Co mogło być najlepszego i najgorszego dla ciebie już ci jest wiadomem. Możemy zaraz wyruszyć w podróż a przy pomyślnéj żegludze, staniemy wkrótce w Paryżu i ujrzysz twojego ojca.

Panna Manette szeptała ciągle sama do siebie.

— Byłam swobodną, szczęśliwą wprawdzie, bo cień mojego ojca nie niepokoił mię nigdy.

— Jeszcze mam ci powiedzieć pani, że skoro przyjedziemy do Paryża i zobaczysz się z twoim ojcem, nie zapytuj go się wcale o szczegóły dotyczące się jego przeszłości bo to dla nas i dla niego mogłoby się stać niebezpiecznėm. Wypada nam przedewszystkiém jak najspieszniéj wywieść go z Paryża.... Ale co się to znaczy ona nie słucha, mię wcale, panno Manette!...

Milcząca i nieporuszona siedziała dziewica w krześle z oczami utkwionemi w panu Lorry, z ostatnim zastygłym na licu wyra-

zem przerażenia i boleści. Napróżno przemawiał do niéj Lorry, bo zdawała się być zupełnie nieprzytomną, a zatem zatrwożony tym jéj stanem, ajent domu Tellsona zaczął wołać o ratunek. Na głos pana Lorry przybyła oberżystka i ocuciła dziewicę; on zaś powierzył ją opiece téj niewiasty, a sam wyszedł z pokoju.

V.

Na przedmieściu świętego Antoniego w Paryżu, przed sklepem pana Defarge rozbili beczkę z winem, zdejmując ją z wozu. Natychmiast zgromadził się tłum ludzi, różnéj płci i wieku, a wszyscy z chciwością maczali usta i ręce w napoju, który był jak krew czerwony i pozostawił ślady na kamieniach, na twarzach i palcach, tego spragnionego tłumu.

A niedługo po tym wypadku, prawdziwe krwawe wino miało być rozlane na kamieniach tych ulic i ci sami ludzie mieli w niém maczać palce i czerwone po niém nosić ślady.

A nad przedmieściem świętego Antoniego mglista unosiła się chmura, a głód i nędza wyglądała z zapadłych oczów, grobowych twarzy i łachmanów jego mieszkańców. Rzekłbyś że starość była towarzyszką młodości, bo oblicza dzieci nosiły już wyraz starców a głos ich był gruby i poważny, a w zmarszczkach posiwiałych młodzieńców i w zapadłych twarzach dzieci, był wyryty jeden i ten sam znak okropny, który się nazywa głodem.

Do sklepu wszedł sam właściciel pan Defarge; łączył on wyraz otwartości w obliczu z wesołém wejrzeniem oczów, a mógł mieć mniéj więcéj około lat trzydziestu. Pani Defarge jego żona była prawie tego samego co jéj mąż wieku, siedziała wtedy za kantorem, a trzeba dodać że badawczém była obdarzona okiem, chociaż zdawało się nieraz jakoby nie patrzała wcale. Spójrzawszy się na panią Defarge można było wyprowadzić z jéj powierzchowności wniosek, że to była niewiasta przenikliwego umysłu i że rzadko myliła się w rachunkach, nad któremi miała powierzone zwierzchnictwo.

W kącie sklepu, siedział stary mężczyzna z młodą niewiastą, kiedy pan Defarge zawiązał rozmowę z jednym z trzech gości, którzy stali około kantoru i spijali wino.

— „Co słychać Jakóbie?“ zapytał jeden z tych trzech, pana Defarge; czy wino rozlane przed sklepem wypili już ci ludzie?

— „Co do kropli Jakóbie“ odrzekł pan Defarge.

Podczas téj rozmowy pani Defarge dłubała w zębach piórkiem, poczem kaszlnęła i podniosła brwi do góry.

— Te nędzne istoty rzadko mają sposobność pokosztowania wina, lub czego bądź innego, prócz czarnego chleba i śmierci, wszak prawda Jakóbie?

— Masz słuszność Jakóbie.

Kiedy po raz drugi wymienione zostało to samo imie, pani Defarge włożyła piórko w zęby i kaszlnęła powtórnie i podniosła brwi w górę o jedną linję wyżéj.

— A, Jakóbie, najgorszy jest los tych bydląt które jeszcze mają cokolwiek włożyć do gęby, bo muszą ciągnąć długo to nędzne życie, czy nie prawda Jakóbie?

— Masz słuszność Jakóbie — odpowiedział znów pan Defarge.

Skoro już po raz trzeci wymienione zostało to imie, pani Defarge położyła piórko od zębów na stronie i lekko poruszyła się na siedzeniu.

— Zapomniałem zacni obywatele przedstawić wam moją żonę.

Trzéj obywatele zdjęli kapelusze i ukłonili się pani Defarge, która odpowiedziała im skinieniem głowy, poczem spójrzała się na około sklepu i z wielkim spokojem zaczęła robić pończochę.

— Obywatele—rzekł znów pan Defarge nie spuszczając z oka żony; pokój który chcieliście zobaczyć jest na piątem piętrze; pójdziecie przez podwórze na prawo; ale zdaje mi się że jeden z was już zna tę komnatę, a więc pokaże innym drogę. Bywajcie mi zdrowi!

Trzéj obywatele zapłacili za wino i wyszli ze sklepu.

Tymczasem, kiedy pan Defarge przyglądał się pończosze, którą robiła jego żona, stary jegomość w podróżném ubraniu powstał z kąta, a zbliżywszy się do kupca prosił go, ażeby zechciał pomówić z nim na stronie.

Rozmowa trwała krótko, zaraz po pierwszém wymówioném słowie, pan Defarge zadrżał z wyrazem podziwu na twarzy i słuchał z wielką uwagą, poczem ruszył głową, jakby na znak przyzwolenia i wyszli obadwa ze sklepu, a za niemi także młoda niewiasta, na którą skinął ręką jéj stary towarzysz.

Pani Defarge robiła pończochę ciągle i zdawało się jakoby nic nie widziała, co się na około działo.

Pan Jarvis Lorry z panną Manette poszli za swoim przewodnikiem. Kiedy zbliżyli się do ciemnego wejścia, które prowadziło ku schodom, przykląkł pan Defarge i z uszanowaniem ucałował rękę dziecięcia dawnego swojego pana; ale ten czyn tak serdeczny na pozór, zdał się być raczéj wyrazem obłudy, bo oblicze Defarga niedawno tak otwarte i wesołe, zmieniło się w téj chwili do niepoznania; rzecby można widząc go teraz, że jest tajemniczym i niebezpiecznym człowiekiem. Kiedy z wielką trudnością wydostali się nareszcie na najwyższy szczebel ciemnych schodów, właściciel zaczął szukać po kieszeniach i wydobył klucz ogromny.

— Więc drzwi pokoju są zamknięte? zagadnął zdziwiony pan Lorry.

— A tak—odrzekł ponuro Defarge.

— Dla czego go trzymasz w takiém odosobnieniu i co cię skłania do zamykania nieszczęśliwego?

— Widzę potrzebę zamykania go na klucz, kiedy to robię, odrzekł mu do ucha Defarge, marszcząc brwi okropnie.

— Jaką?

— Pytasz mię pan jaką! otóż odpowiem, że ponieważ lat kilkanaście był w lochu więziony, gotowby się teraz poranić, wściec lub zabić, gdyby drzwi stały otworem.

— Czy podobna?

— Czy podobna? powtórzył Defarge z goryczą. Tak, tak, na tym pięknym świecie, na którym my żyjemy, wszystko nie tylko jest podobném ale możebném do wykonania. Przypatrzcie się temu co się dzieje codziennie pod słońcem, wielkie i długie jest panowania czarta. Ale pójdźmy daléj.

Rozmowa tak była prowadzona po cichu, że panna Manette nie usłyszała z niéj ani ednego słowa, ale tak drżała biedna pod wpływem wrażenia, niespokojności i trwogi, że pan Lorry uznał za konieczne dodać jéj nieco otuchy.

— Odważniéj, odważniéj poczynaj sobie kochana pani! najgorsze przeminie wkrótce, skoro tylko przestąpisz próg téj komnaty. Myśl teraz o tém, że przynosisz z sobą ojcu pociechę, spokój i szczęście. Niechaj nasz przyjaciel towarzyszy ci pani z drugiéj strony. Dobrze, dobrze wszystko przyjacielu Defarge.

Kiedy zbliżali się już do drzwi na poddaszu, spotkali trzech ludzi którzy zaglądali przez dziurkę od klucza a tak przypatrywali się pilnie, że dopiero głos właściciela domu ich spłoszył. Poznał Lorry że to byli ci sami trzéj obywatele, którzy pili przed chwilą wino w handlu Defarge i przez niego samego wysłani tu zostali.

Pan Lorry odwracając się do towarzysza swego, zapytał go:

— Jakto? więc pan każesz oglądać tego nieszczęśliwego starca?

— Tak jest, pokazuję go, jak pan widzisz niektórym wybranym osobom.

— Czy to się godzi?

— Sądzę że się godzi, kiedy tak robię.

— Jacyż to są ci wybrani?

— Ci którzy noszą moje imie i którym widok ten może wiele zrobić dobrego. Ale pan jesteś anglikem, więc to nic wcale nie dotycze się ciebie. Proszę was, zaczekajcie trochę, zaraz wam otworzę.

Za danym znakiem stary Lorry i jego młoda towarzyszka, cofnęli się o parę kroków, a Defarge zastukał głośno do drzwi parę razy, poczem jakby z umysłu obrócił klucz w zamku z ogromnym łoskotem; następnie roztworzył drzwi z hałasem, zajrzał wewnątrz i wymienił słów parę z więźniem. Znów Defarge odwrócił głowę i kazał wejść swoim towarzyszom. Pan Lorry trzymał oburącz dziewicę, z obawy ażeby nie zemdlała.

— Wejdź, wejdź śmiało, pani, zaraz ukończymy cały interes, mówił pan Lorry, kiedy wilgotne jego policzki świadczyły, że doznawał wzruszenia, które nie miało nic wspólnego z interesem.

— Boję się—rzekła, tuląc się do niego panna Manette.

— Czego?

— Obawiam się jego, mojego ojca!

Widząc wachanie i bojaźń dziewicy, pan Lorry namyślił się zrobić krok stanowczy, poczem pochwyciwszy ją wpół oburącz, wniósł ją do pokoju i stanął z nią blisko drzwi w kącie komnaty, kiedy ona drżąca i wybladła tuliła się do niego.

Defarge zamknął drzwi za niemi, poczem wyjął klucz z zamku i schował go do kieszeni; wykonał to wszystko niby z krwią zimną, ale z jak największym łoskotem, poczem przeszedł wzdłuż pokoju, a stanąwszy pod oknem zatrzymał się i obejrzał na około.

Pokój na poddaszu był ciemny, a jak się zdaje, musiał służyć niegdyś na skład drzewa lub towarów, albowiem zamiast okna były drzwi wgórze, przez które wciągano zapewne z ulicy ciężary, za pomocą urządzonego w tym celu kółka, ale jak się można domyślać drzwi te szyb nie miały wcale, składały się zaś z dwóch równych części, z których jedna połowa była nieco roztwarta, drugiéj zaś nieodmykali nigdy, zapewne z obawy zimna.

Mieszkaniec téj ciemnéj kryjówki, siwowłosy starzec, siedział nad robotą trzewików, odwrócony twarzą do okna, naprzeciwko właściciela handlu, który się pilnie wpatrywał w niego.

VI.

— Dobry dzień—powiedział p. Defarge.

Starzec podniósł siwą głowę i słabym odrzekł głosem: dobry dzień.

— Jak widzę, ciągle tą ciężką zajęci jesteście pracą.

Nastała chwila milczenia, poczem starzec podniósł znów zwolna głowę i odpowiedział: „tak, jak widzicie, pracuję ciągle“ zanim powtórnie opuścił głowę, spójrzał się raz jeszcze starzec błędném okiem na pytającego.

Drżący głos nieszczęśliwego przenikał smutkiem i litością i zdał się być echem dawno już, bardzo dawno, wydanego dźwięku. Głos więźnia tak był niepodobny do żyjącéj ludzkiéj mowy, że dźwięk jego sprawiał takie samo przykre wrażenie, jak to, którego doświadczamy na widok zwiędłego kwiatu, który niegdyś poił nasze zmysły wonią i barwą farb cudnych, bo ten dźwięk tak był ponury i głuchy, jak gdyby wydobywał się z mogiły. Słysząc ten głos smutny i pozbawiony nadziei, rzekłbyś że to ostatnie słowo konającego na puszczy pielgrzyma, kiedy wspomnienie miejsc rodzinnych i drogich osób wyrwie z jego piersi jęk boleści i żalu.

Kiedy starzec patrzał się obojętnym i bezmyślnym wzrokiem, Defarge zapytał go się czy może wpuścić do pokoju cokolwiek więcéj światła.

— Możesz zrobić co ci się podoba—była cała odpowiedź więźnia.

Defarge otworzył drzwiczki, o których mówiliśmy wyżéj, a szeroki strumień światła wbiegł do komnaty i olśnił twarz rzemieślnika, który porzuciwszy na chwilę robotę, siedział spokojnie trzymając na kolanach zaczęty trzewik. Zwyczajne narzędzia i skóry porozrzucane były na ławie i pod jego stopami. Miał on białą brodę, dość krótko i równo obciętą, lica zapadłe a dziwnie błyszczące oczy, dodajmy do tego brwi czarne i białe, w nieładzie spadające na twarz włosy, a możemy sobie przedstawić wizerunek tego człowieka; nadto, powiększały widok jego nędzy łachmany żółte, które były resztkami znoszonéj i zbutwiałéj w długiém więzieniu sukni. Olśniony światłem starzec, podniósł rękę w górę i zasłonił nią oczy, poczem usiadł znowu i błędnym na około wodził wzrokiem. Długie lata samotności, tak odzwyczaiły go od dźwięku ludzkiego głosu, że często parę razy powtarzał pytanie, zanim mógł odpowiedzieć cokolwiek.

— Czy skończycie waszą pracę dzisiaj? zapytał go Defarge, dając zarazem znak p. Lorry ażeby się przybliżył.

— Czego chcecie odemnie?

— Pytam się was, czy skończycie tę pracę dzisiaj?

— Nie wiem tego, nie wiem, sądzę że skończę, ale nie mogę ręczyć za to.

To pytanie przypomniało mu jego zatrudnienie i wziął się znów do pracy.

Pan Lorry pozostawiwszy pannę Manette u drzwi komnaty, wystąpił na środek i stanął obok Defarga. Szewc spojrzał się na nich, ale nie zdawał się być bynajmniéj zdziwiony, tylko przyłożył palec do ust,

poczem zwiesił głowę i rozpoczął znów robotę. Spójrzenie i gest biednego szewca były dziełem jednéj tylko chwili.

— Macie gościa u siebie, rzekł znów Defarge.

— Co mówicie?

— Macie gościa u siebie.

Szewc spójrzał się jak pierwéj, ale nie porzucił roboty.

— Jest tutaj pewien jegomość — rzecze Defarge—który zna się wybornie na robocie trzewików. Pokażcie mu waszą pracę, niech ją obejrzy. Weź i zobacz p. Lorry!

Pan Lorry wyciągnął rękę i wziął podany mu trzewik.

— Powiedźcie temu panu co to za trzewik i jak się jego fabrykant nazywa.

Nastąpiła chwila milczenia zanim szewc odpowiedział:

— Zapomniałem już o co pytaliście się mnie przed chwilą?

— Pytałem się was, czy niemożecie opisać temu panu co to jest za trzewik nad którym pracujecie teraz?

— Jest to damski trzewik. Tak jest, ten trzewik robiłem dla młodéj pani, według dzisiejszéj mody, choć nigdy nie widziałem wzoru. To mówiąc spójrzał na swoją pracę z wyrazem niejakiéj dumy.

— A jak się majster nazywa? zagadnął Defarge.

Nastała znów chwila milczenia, bo starzec wodził na około bezmyślném okiem i ruszał rękami i dotykał się brody zanim odpowiedział:

— Czy pytasz się jakie jest moje nazwisko?

— Tak jest.

— Nr. sto pięć, Bastylja.

— Czy tak, nie inaczéj?

— Nr. sto pięć, Bastylja.

Powtórzywszy te słowa wydał starzec dźwięk głosu, który nie był westchnieniem ani jękiem, poczem wziął się znów do pracy.

— Wszakże nie jesteście szewcem z professji?— zapytał się pan Lorry patrząc się pilnie na niego.

Starzec spójrzał się na Defarga jakby oczekiwał od niego odpowiedzi na to pytanie, ale widząc że ten wyręczać go wcale nie myśli, obrócił wzrok na pytającego i tak odpowiedział:

— Czy jestem szewcem z professji? nie, to nie jest moje rzemiosło, ja wyuczyłem się tego dopiero tutaj, tak jest, pamiętam, prosiłem o pozwolenie.

Tu zatrzymał się nagle, spuścił oczy, to znów podniósł je w górę i zadrżał, poczém mówił daléj niepewnym głosem, jak ów człowiek nagle ze snu przebudzony, gdy myśl jego wacha się jeszcze, pomiędzy rzeczywistością a marzeniem.

— Prosiłem o pozwolenie i uzyskałem go i odtąd zajmuję się tém rzemiosłem.

Kiedy znów więzień wyciągnął rękę po trzewik, który mu odebrali przed chwilą, pan Lorry zapytał się go w te słowa:

— Panie Manette, czy mojéj osoby nie przypominasz sobie wcale?

Szewc wypuścił z rąk trzewik i patrzał się pilnie na pytającego.

— Panie Manette—rzekł znów Lorry, kładąc rękę na ramieniu Defarga, czy nie przypominasz sobie tego człowieka. Spójrzyj się na niego i na mnie i powiedz czy nie przypominasz ani dawnego bankiera ani sługi?

Kiedy nieszczęśliwy więzień spoglądał się naprzemiany to na pana Lorry, to na Defarga, promień myśli przedarł się przez mgłę, która przesłaniała czoło i olśnił jego oczy, a chociaż to światło pokryło się znów chmurą i zgasło, przecież iskra intelligencji opromieniła na chwilę jego oko. Wrażenie wywołane na czole starca, odbiło się w licu młodéj dziewczyny, która stała oparta o ścianę, zkąd patrzała się z rękami wyciągniętemi ku niemu, ale już nie z uczuciem trwogi jak pierwéj, lecz z gorącém pragnieniem przyciśnięcia do młodzieńczéj piersi nędznego oblicza starca i z nadzieją przywrócenia go do życia. Ale znowu cień chmury pokrył jego czoło, jeszcze raz spójrzał się błędnym wzrokiem, potém spuścił oczy ku ziemi, raz westchnął głęboko, podniósł trzewik i wziął się znów do pracy.

— Czy poznałeś go pan? — zapytał się Defarge po cichu.

— Poznałem, ale dopiero wtedy, kiedy lice jego niby pod wpływem wspomnienia rozjaśniło się na chwilę. Lecz cicho! cofnijmy się ku drzwiom panie.

Tymczasem panna Manette zbliżyła się do ławy, na któréj siedział jéj ojciec i z największym spokojem stanęła obok niego. Jak duch, milcząca stała dziewica, obok nieszczęśliwego starca, który siedział pochylony nad robotą, aż w końcu, wyciągnął on rękę po nóż, który leżał na ławie i spostrzegł niebawem suknię dziewicy i podniósł oczy. Towarzysze panny Manette poskoczyli naprzód, jak gdyby przewidując grożące jéj niebezpieczeństwo; lecz ona skinieniem ręki kazała im się zatrzymać, bo serce jéj żadnéj niedoznawało obawy.

Obłąkany starzec zmierzył niespokojnym wzrokiem córkę od stóp do głowy, poczem ruszał ustami, jak gdyby chciał coś przemówić, nareszcie wykrzyknął z przerażeniem:

— Co to się ma znaczyć!?

Zamiast odpowiedzi pochwyciła dziewica ręce ojca, całowała i oblewała je łzami, to znów przyciskała do piersi i kładła na sercu.

— Czy jesteś córką mego stróża?

— Nie.

— Więc jak się nazywasz?

Dziewica usiadła obok ojca na ławie i oparła dłoń swoją na jego ręku. Zdało się że za jéj dotknięciem poczuł starzec dreszcz w całém ciele, bo zadrżał i położył nóż na ławce, poczem usiadł i patrzał się na nią, kiedy ona odgarnęła złote pukle włosów z czoła i na białą zarzuciła szyję. Ojciec spoglądał w milczeniu na córkę chwil kilka, potém westchnął głęboko i wziął się znów do roboty trzewika. Ale niedługo pracował starzec, bo skoro córka położyła rękę na jego ramieniu on odwrócił głowę a wzrok jego zatrzymał się, jakby z powątpiewaniem, na szyi i włosach dziewicy, potém sięgnął ręką i zdjął z szyi swojéj poczerniały sznurek z kawałkiem zawiniętéj szmaty, która była przyczepioną do niego, poczem rozwinął ją starannie na kolanach i wyjął mały pukiel złotych włosów, które niegdyś nosił na palcu. Spójrzawszy się znów na włosy dziewicy, porównał je starzec z temi które trzymał w dłoni i zawołał z podziwem:

— Takie same zupełnie, jak to być może!... kiedy to być mogło? poczem jakby przeczuwając że wrażenie którego doznał odbiło się także w jéj licu, odwrócił ją twarzą do światła i patrzał się na nią. — To ona, tak, to ona, kładła téj nocy głowę swoją na mojém ramieniu i drżała z przestrachu i płakała nademną, kiedy przyszli pomnie i prowadzili mię do więzienia. Tam przypominam sobie dobrze, skoro znaleźli przy mnie jéj włosy, powiedziałem im: czy zostawicie mi tę pamiątkę? bądźcie pewni że ten talizman tylko duszę uwolnić może, ale ciała mojego nie oswobodzi z więzów. Nim powiedział te słowa zdawał się pierwéj starzec namyślać dość długo, ale mówił dość płynnie, chociaż powoli. Potém dodał jeszcze: „jak to być może, czyż byś ty nią była?“

Znowu dwaj widzowie téj sceny posunęli się naprzód, kiedy ojciec z wyrazem groźnego smutku zwrócił się ku córce, ale ona nie wyrywała się wcale z rąk jego, owszem skinęła na tych panów i rzekła cichym głosem: Zaklinam was na wszystko, nie zbliżajcie się do nas i nie mówcie ani jednego słowa.

— Co słyszę!—czyjto jest głos?

Nagle wypuścił starzec z przerażeniem ręce dziewicy i jakby w szale rozpaczy zaczął targać swoje siwe włosy, ale ten szał przeminął wkrótce, bo na ukochaną spojrzał on znów pamiątkę, zawinął ją i zawiesił na szyi; poczem patrzał na córkę i smutnie ruszał głową.

— Nie, nie, to być nie może, ty jeszcze jesteś tak młoda, ty dopiero rozkwitać się zdajesz. To być nie może. Patrz co się stało z więźniem. Ona by już nie poznała teraz téj twarzy, tych rąk ani tego głosu. Już wiek cały upłynął od czasu, w którym pożegnali się po raz ostatni, nim wrota więzienia oddzieliły go od niéj na zawsze.— Powiedz jak się nazywasz mój miły aniele?

Przejęta słodyczą jego głosu, padła dziewica na kolana przed nim, a wyciągając ku niemu ręce zawołała ze łzami:

— Powiem ci panie później o wszystkiem, o sobie, o rodzicach, i o smutnym losie co ich spotkał, a o którym ja dowiedziałam się dopiero teraz. Dziś nic więcéj powiedzieć nie mogę, chyba to tylko że błagam cię pobłogosław mię i uściskaj, mój drogi, mój najmilszy panie!

Złoty włos dziewicy opromienił głowę

starca, niby promyk wolności, który mu zaświtał w téj chwili.

— Jeżeli, jak się spodziewam, usłyszysz w moim głosie echo dawno znanego ukochanego dźwięku, lub jeżeli na widok moich włosów przypomnisz sobie drogą ci niegdyś głowę, którą przyciskałeś do piersi, gdy byłeś jeszcze młodym i wolnym, wtedy zapłacz nad tém mój panie! Jeżeli ci wskażę miejsce do którego cię zawiozę i gdzie otoczę cię miłością i opieką, gdzie postaram ci się przypomnieć dom dawno opuszczony przez ciebie;— o! nie powstrzymuj łez na to wspomnienie i zapłacz mój panie.

To powiedziawszy, objęła córka głowę ojca i przyciskała do piersi.

—Kiedy ci powiem mój najmilszy, że już nastał koniec twoim cierpieniom i że zawiozę cię do Anglji, gdzie zakwitnie dla ciebie spokój i swoboda, a gdy wspomnisz o twojéj rodzinnéj Francji, która tak złą okazała się dla ciebie, wtedy zapłacz także nad tém mój panie! Potém dowiesz się znów odemnie, jakie jest moje i ojca imie i że matka mi już umarła, ale ojciec żyje jeszcze, chociaż dopiero teraz dowiedziałam się o jego smutnym losie, bo matka przez miłość dla córki, ukrywała przed nią wiadomość o nieszczęściach jéj rodzica, a kiedy nareszcie ci powiem że chcę błagać na kolanach przebaczenia, za to że niepomyślałam nigdy, nie zapłakałam nad jego losem, wtedy zapłacz także nad sobą, nad nią i nademną. — O dzięki Bogu! widzicie zacni panowie, że łzy spływają już po jego twarzy i ciężkie łkania wydobywają się z piersi, o dzięki ci, dzięki Boże!

Po ostatnich słowach córki, starzec padł w jéj objęcie, a boleść jego tak była poruszająca i wymowna, że obecni zakryli twarze rękami.

Po burzy nastała chwila spokoju; starzec leżał bezwładny na ziemi, niby w śnie letargicznym, córka zaś klęczała przy nim i podpierała jego głowę, a złote pukle jéj włosów, chroniły od blasku światła przygasłe oczy ojca.

Widząc zbliżającego się pana Lorry, rzekła dziewica do niego:

Czyby nie można mój panie przygotować co potrzeba do wyjazdu, potém zabrać go tak jak jest teraz do powozu i wywieść czem prędzéj z Paryża?

— Ale zważ pani, czy on będzie mógł odbyć teraz tę podróż?

— O! ja sądzę że im prędzéj wyjedzie z tego strasznego miasta, tém prędzéj może powrócić do zdrowia.

— Prawdę mówi ta pani, rzekł Defarge, który przyglądał się w téj chwili jéj ojcu— najlepiéj zrobicie jeżeli go zaraz wywieziecie z Francji. Jeśli zechcecie, przyprowadzę wam natychmiast konie pocztowe.

— Ten interes do mnie należy;—rzekł p. Lorry ze zwykłym spokojem, więc go ukończyć muszę.

— Raczcie nas zostawić tutaj samych,— rzekła błagalnym głosem panna Manette. Widzicie jak mój ojciec spokojny jest teraz, nie macie się więc czego obawiać i możecie go zostawić sam na sam zemną. Jeżeli lękacie się ażeby kto nie naszedł nas i nie przerwał jego spoczynku, możecie zamknąć drzwi na klucz za sobą, a skoro powrócicie znowu, ręczę wam że zastaniecie go w tym samym spokojnym stanie. W każdym razie będę czuwać nad nim do waszego powrotu, poczem zabierzemy go z sobą do powozu i wywieziemy natychmiast.

Lorry i Defarge może nie przychyliliby się tak prędko do żądania dziewicy, gdyby nie wzgląd na to, że wypadało pośpieszyć z wyjazdem, gdy tymczasem dzień miał się już ku schyłkowi, a ani konie pocztowe dotąd zamówione nie były, ani nie mieli jeszcze do wyjazdu przygotowanego paszportu, więc nie namyślając się długo, usłuchali przełożeń panny Manette i wydalili się z komnaty.

Kiedy już zmrok zapadł, córka położyła swą głowę na ziemi obok ojca i czuwała nad nim.

Wkońcu ściemniło się już zupełnie a ojciec z córką spoczywali ciągle w milczeniu, dopóki promień światła nie przedarł się przez szczeliny komnaty.

Nadeszli panowie Lorry i Defarge i oznajmili, że wszystko gotowe już jest do wyjazdu. Przynieśli oni z sobą oprócz podróżnego ubrania, pożywienie, butelkę wina, i imbryczek z gorącą kawą.

Defarge złożył na ławie szewca odzież i artykuły żywności, następnie ocucił star-

ca i przy pomocy pana Lorry podniósł go z ziemi.

Trudno jest odgadnąć, jaki był w obecnéj chwili stan duszy nieszczęśliwego pana Manette, czy przypominał sobie co córka mówiła do niego przed chwilą, bo odpowiedzi jego na czynione mu zapytania, były bez żadnego związku.

Z obawy ażeby nie pogorszyło się jego obłąkanie, postanowili o nic już więcéj nie pytać się biednego starca. Ale zauważali, że dźwięk głosu córki sprawiał na nim miłe i silne wrażenie. Przyjmował pan Manette pokarm i napój z uległością niewolnika, który przywykł oddawna do słuchania każdego rozkazu i wkładał na siebie surdut i każde odzienie, które mu podali.

Skoro gotowi już byli do podróży i córka podała mu rękę, uchwycił ją natychmiast i wyszedł z nią z komnaty.

Kiedy schodzili na dół ze schodów, pan Defarge przewodniczył im z latarnią w ręku a pan Lorry postępował za niemi. Zaledwie z kilkunastu zeszli schodów, starzec zatrzymał się nagle i spojrzał się na około.

— Czy przypominasz sobie te miejsce ojcze, czy pamiętasz kiedy przybyłeś tutaj?

— Co mówisz?

Ale zanim córka powtórzyła pytanie, on przemówił po cichu:

— Czy pamiętam? nie, nie pamiętam, już tak jest dawno od tego czasu.

Okazywało się z odpowiedzi p. Manette, że nie pamiętał wcale chwili, w której uwolniony został z więzienia, a oglądał się na około ze zgrozą, jak gdyby widział przed sobą mury twierdzy i powtarzał ciągle pocichu: „Nr. sto pięć, Bastylja.“

Skoro wyszli już na podwórzec p. Manette zatrzymał się znowu nagle, jak gdyby spodziewał się ujrzeć przed sobą most zwodzony, ale kiedy zamiast mostu spostrzegł powóz stojący na ulicy, wypuścił dłoń córki i schwycił się obiema rękami za głowę.

Na ulicy nie było widać ani jednéj żywéj duszy, sama tylko pani Defarge stała obok powozu z robotą w ręku i ze spuszczonemi jak za zwyczaj oczami.

Pan Manette najprzód wszedł do powozu, za nim jego córka. Lorry stał już na stopniu, kiedy starzec zapytał się go o swoje narzędzia i trzewiki. Usłyszawszy żądanie biednego Manetta, pani Defarge oświadczyła że mu sama przyniesie zaraz wszystko, i robiąc ciągle pończochę poszła przez podwórze ku komnacie dawnego więźnia. Niezadługo powróciła i przyniosła żądane narzędzia a włożywszy je do powozu, stanęła na dawnem miejscu i robiła znów pończochę, nie dając żadnego na około baczenia.

Defarge skoczył na tył powozu i zawołał na pocztyljona: do rogatek! Pocztyljon strzelił z bicza i powóz ruszył przez miasto, pomiędzy rzędami tu i owdzie słabo gorejących latarni, minął wspaniale oświecone sklepy, kawiarnie, teatra i stanął w jednéj z bram miasta. Żołnierze wybiegli z latarniami i zapytali się podróżnych o paszporta.—„Oto są papiery tych panów,“ rzekł Defarge, biorąc oficera na stronę: „ten paszport służy dla tego pana z siwą głową,“ tu zaczął mówić po cichu, kiedy żołnierze szeptali pomiędzy sobą, a jeden z nich poszedł z latarnią i zajrzał wgłęb powozu. „Dobrze, możecie jechać“ zawołał oficer. „Bywajcie zdrowi!“ rzekł Defarge poczem powóz wysunął się z pomiędzy latarni i pod otwarte gwiaździste wyłynął niebo.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZÉJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

Nić złota.

I.

Upłynęło lat trzy od czasu opisanych powyżéj wydarzeń.

Pod oknem domu handlowego Tellsona w Londynie siedział Jerry Chruncher, który piastował przy banku urząd odźwiernego i gońca zarazem, obok niego stał syn jego młody Jerry. Co wieczór stary Jerry

powracał z synem do domu, który znajdował się w innéj części miasta, a co ranek przychodził do Temple bar, i siadał przed domem Tellsona, gdzie zazwyczaj przepędzał dzień cały.

Pewnego poranku Jerry został wezwany przez jednego z sekretarzy banku Tellsona, który zawiązał z nim następującą rozmowę:

— Zapewne znasz dobrze sądy, Jerry?

— Tak panie znam się z sądami dobrze.

— A znasz pana Lorry?

— Znam pana Lorry daleko lepiéj niż sądy, z któremi jako uczciwy kupiec nie pragnę zapoznawać się bliżéj.

— Bardzo dobrze, wejdź do drzwi izby w któréj stoją świadkowie i oddaj odźwiernemu tę kartkę z poleceniem doręczenia panu Lorry, za tą kartką wpuszczą cię do niego.

— Czy do izby sądowéj panie?

— Tak jest.

Oczy pana Jerry rzekłbyś że zbliżały się do siebie i jedne oko zdawało się zapytywać drugiego co o tém myśli.

— Czy mam oczekiwać tam długo?

Powiem ci co masz robić: najprzód niech odźwierny odda kartkę panu Lorry, potém staraj się mu pokazać, a skoro cię zobaczy stój na miejscu i czekaj na jego rozkazy.

— Czy już wszystko?

— Rozumie się że wszystko. Pan Lorry chce mieć posłańca przy sobie, wrazie potrzeby; wypada ci więc dać mu znać o tém że już jesteś.

Kiedy stary sekretarz zawijał i pieczętował list, Jerry zrobił uwagę: Pewnie sprawa o fałszerstwo będzie dziś wytoczona w sądzie?

— O zdradę!

— Pewnie będą ćwiertować za to,—barbarzyństwo!

— Takie jest prawo, odpowiedział stary sekretarz poprawiając okulary na nosie, takie jest prawo.

— Ciężkie jest prawo które każe ćwiertować człowieka i to co każe zabijać nie jest dobre, ale daleko sroższe jest to które skazuje na tortury.

— Wcale nie, odrzekł stary sekretarz. Nie waż się mówić źle o prawie, pilnuj twego nosa i bądź ostrożny w mowie mój przyjacielu, a niech się sami prawnicy troszczą o prawo; taka jest moja rada.

— Smutne to jest prawo panie, które się wtrąca do mojego nosa i do słów moich— odrzekł Jerry. Sam tylko osądź panie, jak ciężka jest droga po któréj muszę zarabiać na życie.

— Wiem, wiem o tém odpowiedział stary sekretarz—mamy różne drogi do zarabiania na życie, ci mają smutne a tamci wesołe, jak komu los przeznaczy. Ale nie zwlekaj i idź natychmiast z listami.

Jerry z uszanowaniem ukłonił się sekretarzowi, w duszy zaś mówił do siebie: chudy z ciebie także jest pachołek mój stary; poczem uprzedził syna że odchodzi i poszedł do wskazanego mu miejsca.

Owczesne więzienia były stekiem brudu i ohydnych wszelkiego rodzaju praktyk, a wylęgłe pomiędzy więźniami różne zaraźliwe choroby zanieczyszczały izbę sądową; jakoż zdarzały się wypadki że Lord najwyższy sędzia ogłaszając wyrok przeciwko złoczyńcy, wydawał zarazem wyrok śmierci na siebie, bo często zanim spadła głowa więźnia on sam pierwéj przeniósł się do wieczności. Dom sądowy słynny był wówczas jako obszerna gospoda, z któréj wyjeżdżały ciągle wozy napełnione podróżnemi, których przewozili do innego świata. Słynną była jeszcze ta gospoda z wielu innych mądrych starych instytucji, jak np. z tortur, na których najwymyślniejsze zadawali męki, także z biczowania, tego drugiego starego obyczaju, który miękczył serca i był wielce budujący dla oka, skoro go w czyn wprowadzali, nie mniéj także słynnemi były te sądy z handlu krwią ludzką, którą wymieniali za pieniądze; był to także szczątek dawnéj mądrości, która doprowadzała systematycznie do najstraszniejszych zbrodni, jakie kiedykolwiek mogły istnieć pod słońcem. Zresztą, sądownictwo owych czasów trzymało się zdania, że wszystko co jest, sprawiedliwém jest, które to orzeczenie byłoby bardzo dogodném, gdyby z niego nie wypływał ten szkodliwy wniosek: że wszystko co się stało, stało się dobrze.

Nasz posłaniec przecisnął się przez tłumy ludu zalegające znaczną przestrzeń naokoło domu badań, aż nareszcie znalazł drzwi które wiodły do izby sądowéj i podał list

za adresowany do pana Lorry. A trzeba dodać że drzwi wszystkie były pozamykane i ściśle strzeżone, że za wejście wewnątrz ciekawi musieli płacić tak samo jak za wchód do cyrku, jedne drzwi tylko, przez które wpuszczano winowajców stały zawsze otworem· Po niedługim czasie Jerry Chruncher został wpuszczony do izby sądowéj, poczem zapytał się zaraz stojącego najbliżéj człowieka, co słychać tutaj?

— Nic jeszcze dotąd.

— Jaką sprawę sądzić mają?

— Zdradę stanu.

— Winowajcę czeka poćwiertowanie, wszak prawda?

— Ah!—odpowiedział zagadniony—gdyby tylko poćwiertowanie, ale nie; wprzód go powieszą i zaduszą do połowy, poczém będą go krajać na drobne części, potém wyjmą wnętrzności z niego i spalą, a wkońcu dopiero odetną mu głowę;—taki wyrok mają ogłosić dzisiaj.

— Jeżeli uznają go winnym.

— Oh, nie troszcz się o to, bo napewne uznają że jest winnym. Jerry Chruncher zauważał że pan Lorry siedział tuż obok obrońcy więźnia, w gronie panów, którzy mieli na głowach peruki.

Wkrótce ściągnął Jerry na siebie uwagę pana Lorry, który mu odpowiedział poruszeniem ręki, że go poznał i dał znak ażeby oczekiwał na jego rozkazy.

D. c. n.

KORESPONDENCJA.

Lwów dnia 28 Czerwca 1862 r.

Od dwóch dni, odbywam po Lwowie prawdziwą wędrówkę. Chodzę od biblioteki Ossolińskich, do zakładu sierot i szpitalika dla dzieci, księżnéj Sapieżyny, od domu stowarzyszenia czeladzi rzemieślniczéj katolickiéj, do więzienia w którém 300, wyraznie trzysta, zbrodniarek; między temi wiele skazanych za kilkakrotne zabójstwo, zostaje pod strażą kilkunastu zakonnic i jednego przed drzwiami więzienia stojącego żołnierza. Chodzę po stolicy Galicji, bardziéj oczarowana tém wszystkiém co widzę, co mi pokazują i rozpowiadają, niż gmachami Paryża i umysłami Zachodu. Dla czego? Czy może duma narodowa każe mi pogardzać wszystkiém co obce, choćby to było piękne i zacne? czy się zawzięłam chwalić jedynie to, co swojskie?

Nie!—ze wszystkich cnót człowieka, najpiękniejszą wydaje mi się sprawiedliwość. Nigdy przeto nieodmówiłabym słusznéj pochwały tam, gdzie rzeczywistą spostrzegłam zasługę. Cóż więc dziwnego że wejrzawszy w ciche acz wielkie prace kilku obywateli Lwowa, że obejrzawszy zakłady które m tak wymownie świadczą o cudach miłosierdzia chrześcijańskiego; serce me bije chlubą i radością na tę myśl żem i ja polka, żem chrześcijanka. I dla tego, zamiast biedz w przeszłość pamięcią i zestąpić w dawne wieki, by jak z dziecinnych powijaków, rozwijać wam dawnego Lwowa wzrost i życie, zostawię rzecz tę dziejopisom, a sama o dzisiejszym Lwowie nadmienię.

Ja poznałam go z pięknéj strony. Widziałam kobiétę wysokiego rodu, oddaną zupełnie ubogim w Chrystusie. Widziałam zakład dla pokutnic, szpital dla ubogich dzieci, najtroskliwiéj po macierzyńsku (choć bez woskowanych posadzek i politurowanych łóżek) urządzony; widziałam szkoły dla kilkudziesięciu sierot, ubranych schludnie lecz ubogo, ale za to nakarmionych do syta i uczonych odpowiednio do swego stanu. W tych trzech domach, w tych trzech jednego zakładu oddziałach, uważałam iż wszędzie bacznośc dawano szczególną na zdrowie, wygodę, moralność i przyjemność mieszkańców. To mię serdecznie rozradowało. Szpital nie jest więzieniem, szkoła i

nauka nie są tu dla dzieci torturą, a przytułek dla pokutnic jest miejscem prawdziwéj skruchy i poprawy, bo z miłosierdziem i wyrozumieniem, siostry Śgo Ignacego, łączą poszanowanie dla ludzkiéj natury, choćby jak najwięcéj zepsutéj, jak najbardziéj spodlonéj. Pokutnic przeto nieprzyjmuje się innych, tylko takie, które same przychodzą szukać tu schronienia i opieki. Niepokazują się one światu, mają swój kościół, swe cele, swój ogród i pracę, to im wystarcza i nikt prócz zakonnicy, schronienia ich nienachodzi, żadne szydercze lub litośne spojrzenie, rumieńca wstydu na oblicze tych biednych niewiast, niewywoła.

— Jakież państwo macie dochody i kto składa opiekuńczą radę tych zakładów dobroczynnych? zapytałam księżnéj S., gdyśmy zwiedzali szkółkę i szpital.

— Nie ma tu ani rady, ani stowarzyszenia, ani dochodów, odpowiedziała mi księżna. Opatrzność opiekuje się wszystkiém, siostry zakonne rządzą, a ja czasem do pomocy wezwana jestem.

Domyśliłam się po téj odpowiedzi, że dochody płyną z rąk księżnéj, która każdy grosz ujęty swym potrzebom, dla sierot oddaje.

— Nie lubię towarzystw dobroczynnych, rzekła księżna po chwili. Tak długo byłam opiekunką dobroczynności i tak dużo złego popełniłam w przekonaniu iż dobrze robię, żem się nakoniec przekonała, iż tylko w imię Boże i przy pomocy wiary naszéj Śtéj, wykonywać można miłosierdzie prawdziwe. Bydź urzędnikiem, rozdającym chleb, wsparcie pieniężne lub mięso, nie jest to służyć ubogim w miłości i pokorze. Ja tedy zrzekłam się moich urzędów dobroczynnych i tylko do stowarzyszenia Śgo Wincentego á Paulo należę. — Patrz Jasiu, mówiła do brata pokazując mu kawałek pola, przy ogrodzie szpitala dla dzieci. Ten kawałek pola, darował mi mąż na imieniny.

— Czy to pole było księcia? zapytałam.

— Nie, kupił je od właściciela za 4 tysiące reńskich.

Piękny podarek! pomyślałam sobie i kochany mąż taki który wiązanie daje małżonce, w ziemi przeznaczonéj na uprawę jarzyn dla sierot.

Pan Agenor Gołuchowski urządził we Lwowie więzienie dla kobiet, na wzór takiegoż więzienia w Stein. Jest kilka miasteczek tego nazwiska w Europie, lecz to o którém mowa, leży w Węgrzech w komitacie Eisenburg, prowincji Oedenburg. Otóż tam, zbrodniarze skazani na całe życie, za mordy i rozmaite przestępstwa, pilnowani są przez zakonnice. Skazanych jest do tysiąca; siostr miłosierdzia 24, wały fortecy i jeden żołnierz przede drzwiami więzienia, strzegą więzionych. We Lwowie obchodziłam każdy takiego więzienia zakątek, schludnie, wygodnie, dobrze prawie, w tych strasznych zdaje się murach. Łóżka czyste i obszerne, nie tak jak w pewnych miastach Europy, gdzie więzień chcąc się na drugi bok obrócić, powstać wprzód z łóżka musi, żeby niespadł na ziemię, tak wązkie jest łóżko. W spiżarni, stosy bochenków razowego chleba, tak pięknego, żeśmy tęskniące za żytnim chlebem, straszną ochotę, porwania jednego bochenka miały. Ogród piękny, kościół i kaplica wspaniałe, zakład cały uposażony dobrze, od rządu C. K. A. Skarżą się przeto szwaczki lwowskie, iż kobiéty z więzienia chleb im odbierają, gdyż za bezcen szyją i haftują, czego żadna szwaczka uczynić niemoże, skoro zapłacić musi mieszkanie i jedzenie, które więźniarki darmo dostają.

Pytaliśmy się oprowadzającéj nas siostry miłosierdzia, czy wielkie zbrodniarki dużo im sprawiają kłopotu.

— Jest tu jedna—odrzekła nam zakonnica— skazana na dożywotne więzienie, za zabicie męża i syna. Bóg widzi jak mi żal téj kobiéty, takiéj skruchy, takiego żalu i pobożności takiéj, nigdzie jeszcze u nikogo niewidziałam. Tom tylko spostrzegła, że czém która większą zbrodnię popełni, tém lepsza jest, gdy raz wejdzie na drogę poprawy. Ha, pomyślałam sobie, On, boski nasz Mistrz, nigdy się niepomyli. Wszak rzekł: „*wiele jéj odpuszczono bo wiele umiłowała*“—i na nikogo nie kazał rzucać kamieniem—a któż jest „*bez grzechu?*“

— Ciekawy jestem—zagadł pan Z. z kim łatwiejsza sprawa. Czy zbrodniarz trudniejszy do prowadzenia jak zbrodniarka?

— Daleko łatwiéj z mężczyznami dać sobie radę, powolniejsi są od kobiét dla

siostr naszych. Widok słabéj i poświęconéj Bogu niewiasty, działa na tych ludzi w zbrodni zatwardziałych, jak muzyka na szalonego, lub na przemarzłego, słońce. Oni tak odbiegli od praw bożych, iż osoba która zstępuje do takiego piekła, jakiém jest zgromadzenie występnych, a zstępuje tam ze słowem miłości, pokoju i przebaczenia, musi im się wydać nadziemską istotą.

— Dla czegoż temu wpływowi nieulegają kobiéty? żywo zapytałam księżnéj.

— Myślałabym, odparła, iż dla tego: że kobiéty żywiołem jest cnota. Jeżeli więc która wystąpiła z drogi cnoty, wtedy złość jéj przechodzi wszelką złość ludzką. Bo my znatury jesteśmy zapalczywsze i miary tak w złęm jak w dobrém, z trudnością się trzymamy. Lecz przełożona tutejsza siostra R. miała sposób na najgorsze swe wychowanki. Dwom, bardzo niesfornym zbrodniarkom, zwykle razem kazała mieszkać; wady jednéj tak się ohydne drugiéj, acz nielepszéj od towarzyszki wydawały, iż zwykle kończyło się na poprawie.

Gdym się do woli nacieszyła, chrześcijańskiém urządzeniem więzienia, gdy mię zapewniono że *kary cielesne*, wypędzone są z tego domu bezpieczeństwa; iż zbrodniarki najczęściéj *poprawione* wychodzą ztamtąd, że te które ciężko pracują, to jest kopią w ogrodzie, piorą, służą przy kuchni, zdrowsze są od szwaczek i haftarek, (co przemawia za pracą i ruchem w miarę) kazano mi ruszać daléj i zawieziono mię przed jakiś piękny budynek. Stała, obok porządnego domu ogromna kręgielnia. Przed kręgielnią pełno przyrządów, do ćwiczeń gimnastycznych. Kilkudziesięciu młodych, porządnie ubranych ludzi, bawiło się gimnastyką, a takie cuda w łamanych sztukach dokazywali, że sądziłam z początku iż to jest jakieś tawarzystwo skoczków na linie, akrobatów. Lecz na spotkanie nasze wyszedł duchowny, przywitał księżnę jak dobrą znajomą i zaprowadził nas do kręgielni, gdzie młodzież grała w kręgle. Był to przewodnik, ojciec, opiekun téj gospody, stowarzyszenia katolickiego, czeladzi rzemieślniczéj lwowskiéj, ksiądz Zygmunt Odelgiewicz. Oprowadził nas po budynku, pokazał salę wykładu, rysunki stowarzyszonych, mały ale wyborowy księgozbiór i salę dla chorych, którzy niemając dostatecznych u majstra lub w szpitalu wygód, tam przebywają dopóty, dopóki do sił nieprzyjdą i zarobkować nie są w stanie.

Stowarzyszenie to jest pod wezwaniem Śgo Józefa, Patrona cieśli, szczęśliwéj śmierci, a więc i dobrego życia. Każdy rzemieślnik czeladnik, dobrego prowadzenia się, może za opłatą 6 krajcarów na miesiąc, do tego stowarzyszenia należyć. Jeżeli bardzo ubogi, wtedy nic nie płaci. W godzinach wolnych od pracy, wolno mu przyjść na tę gospodę, gdzie urządzony jest wykład religji, nauka rysunków, pisania, deklamacji, śpiewu kościelnego, nawet dziejów i geografji. Po nauce, dnie świąteczne spędzają na rozrywkach, nawet piwo, bułki i kiełbaski, nie są im wzbronione, za stosowną opłatą. Katolików jedynie przyjmują do tego stowarzyszenia, gdyż w tém zgromadzeniu, w pewne dni, uroczyste, wspólnie odbywa czeladź spowiedź i kommunjie Śtę., ksiądz Odelgiewicz zaś utrzymuje, że prosta i szczera wiara, najsilniejszą jest obyczajów podstawą. Z uczuciem przyglądałam się téj zacnéj młodzieży, w postawie i obliczu, każdego z nich, była pewna śmiała godność jaka w obec bliźnich nieopuszcza nigdy myślącego człowieka. Ze czcią powitali księżnę, znać nie była dla nich obcą, ona też w braterskiéj równości wyrazach, przemawiała do nich grzecznie i przyjaźnie. W ukłonie jéj i dźwięku głosu, niewyśledziłam cienia protekcji lub wyższości, jak to się zwykle zdarza, gdy ubogiego wita bogacz, maluczkiego, mocarz. Był tam stosunek starszéj wiekiem, cnotą i cierpieniem, siostry, do młodszych a lubych braci. Opiekunami tego stowarzyszenia jest 83 osób noszących, co najświetniejsze w kraju nazwiska, duszą téj młodzi, ojcem ich i bratem, jest ksiądz Zygmunt Odelgiewicz, przyjaciel księdza Adolfa Kolping, który pierwszy wpadł na myśl podobnego stowarzyszenia czeladzi w Kolonii, gdzie też urządził takowe, a i w Wiedniu znalazło naśladowników.

Przepraszam was, może to zbyt nudne, opisy, może, ale to niepodobna żeby kogokolwiek z poczciwych i dobrze myślących nie obchodził postęp ludzkości i tryumf ewangelji Chrystusa. A wszak to Zbawcy

tylko idąc torem, można z małemi środkami służyć bliźnim swoim. Z *małemi*— źle się wyraziłam, miłość bliźniego, pokora i praca, to ogromne dźwignie społeczeństwa!

* * *

Wracaliśmy ze Lwowa do Krakowa, piękną okolicą, pełną ślicznych gajów, żyznych łąk, bogatych osad. Powabną jest Galicja pod każdym względem, piękne polskie stroje, w których tak do twarzy naszym obywatelom, wiejskie czółka, w jakie ubierają się z wielkim wytworem świetne galicyjskie panie, to zamiłowanie swojskich obyczajów, poszukiwanie starożytnych dobrych wzorów, smak do naukowych badań na polu ojczystém, wszystko mi to zaleciło kochaną Galicję. Pan W.P. Dzieduszycki ma tak cudny zbiór różnobarwnych ptaków, iż bardzo żałuję, że nie umiem malować. Wszystkie barwy królestwa roślin, lśnią na piórach wielkich i małych okazów, smakownie i umiejętnie za szkłem ustawionych. Byłam pewna że ze wszystkich części świata, zebrany ten skarb ornitologiczny. Bynajmniéj! są to ptaki w Galicji przebywające, stale czy wędrownie. Slicznie się bawi pan W.P. Dz. i winszowałam mu takiéj namiętności. W Przeworsku znów u księcia Jerzego L. masz zupełne muzeum. Co zbiorów, pamiątek archeologicznych, obrazów. Jaki stosunek z włościanami serdeczny. Książę L. ma także namiętność, którą daleko posuwa. Przepada za strojem włościańskim. Mnóstwo kapot, kapeluszy z rozmaitych wieków, dużo kobiecych przyborów po odkrywał i zastosował w swoim i żony ubiorze. Myślicie że ten ubiór śmieszny lub dziwaczny? Wcale nie, przysiądz wam mogę iż chętniéjbyście go przywdziali i ładniéjby na was leżał, niż frak niemiecki lub paryzki kapelusz.

Nasz kochany Aleks. Fredro, ma kilka wybornych sztuk dramatycznych w swéj tece i nie wiem czemu światu pokazać ich nie chce. Trzeba widzieć jak lwowscy artyści grają sztuki Fredra! Znać iż pod okiem mistrza wyuczeni. Widziałam pana Jowialskiego i tylko w teatrze francuzkim w Paryżu, spotkałam się z grą tak doskonałą jak gra pp. Nowakowskiego, Maleszewskiego i wszystkich, oraz panien Wenclównéj, Zalewskiéj, pani Hubertowéj tudzież kilku innych których nazwiska niepamiętam. Co dziwna, co rzadka—przy niezwyczajnym artystów talencie, mają bydź obyczaje wzorowe. Od sztuki dramatycznéj, przechodzę do sztuki szewckiéj. Przeskok niełatwy prawdziwie: *á propos des bottes* jak mówią francuzi. Wyciągając się wygodnie w powozie kolei żelaznéj, by użyć noclegu pociąg bowiem ruszał na noc w drogę, spójrzałam na nogi, ułożonéj już do snu, mojéj sąsiadki i towarzyszki. Wykrzyk podziwu i zgrozy wymknął się z ust moich....

— Co widzę! pani trzewik rozpruty od góry aż do dołu.

— A tak, odpowie mi z westchnieniem panna J., w przeddzień naszego wyjazdu trzewiki te kupiłam w Paryżu, 16 franków mię kosztują (32 złp.) i po trzech tygodniach jazdy, nie wędrówki pieszo, widzisz jak się popruły.

Miłość własna, straszną jest namiętnością i z niczego utworzy sobie żywioł.

Z chlubą więc wysunęłam moję nogę, w warszawski trzewik obutą.

— Patrz pani, rzekłam tryumfując, kosztują mię 6 franków, (12 złp.) dwa miesiące już mi służą—i całe jeszcze!

— Prawda, odrzekła pokornie panna J. a ja wesoło zawołałam: „Niech żyją szewcy warszawscy, niech żyje wszystko co nasze!“

Przechodząc przez przedpokój, spotkałam chłopca który nam tu posługuje, pilnie zajętego pisaniem.

— Czy Sebastjan pisze do rodziców? zapytałam.

— Nie panienko, nieumiem pisać ani czytać.

— A cóż Sebastjan robi z tém piórem i tą kartą?

— Jaśnie pan powiedział mi, że choć już mam lat 26, mogę się *sam* czytać nauczyć i pisać, że już tak kilku wyuczył, dał mi więc tę kartę pokazał literę A i wszędzie gdzie tę literę spotkam, kazał ją zaczernić.

Spójrzałam, wszystkie A były pozaczerniane na papierze, zadrukowanym abecadłem, modlitwą pańską, rachunkami i 10rgiem bożego przykazania, treścią nauki ubogich. Pan Z. autor tego elementarza,

powiada mi że każde dziecko i każdy dorosły, nauczy się w ten sposób pisać, zgłoskować i czytać bez nauczyciela, trzeba tylko pokazać i nazwać uczniowi kolejno, litery które ma zaczerniać. A składanie głosek—jakże się tego sam nauczy? zagadnełam.—Jeżeli umie cały pacierz, to łatwo zaczerniając podkreślone głoski, do syllabizowania dojdzie; wiem to z doświadczenia, odrzekł pan Z., bom już kilka osób dorosłych, czytać na tym elementarzyku wyuczył [1]).

Poprosiłam o ten cudowny elementarzyk i posyłam go do kółka, może się w szkółkach wiejskich przyda, dzieło tak łatwe do nabycia a tak użyteczne acz drobne.

J. Janiszewska.

[1]) Elementarzyk jest drukowany czerwono. Skoro uczeń jeden poszyt zaczerni, gdyby niepoznał dostatecznie liter, powinien zaczerniać dopóty półarkuszki elementarzyka, dopóki się pisać liter nienauczy. Następnie przystępuje do zgłoskowania (syllabizowania). Głoskowanie zaczyna się na liczbach np. pozostawia się *je*—czerwono, zaczernia się—*den*. Pozostawić trzeba—*dwa*,—zaczernić—*na*,—*ście*, znów zostawić czerwono.

Od liczb zaczyna się z téj przyczyny, że do tysiąca może je uczeń wypisywać z pamięci, (gdy się już nauczy kreślić osobno litery) a zawsze trafia na te same dźwięki i wyrazy. Ma to bydź niezmiernóm ułatwieniem. Jedno dziecię które się tak czytać wyuczy, powinno przewodniczyć w téj nauce drugiemu, jest to bowiem elementarzyk do samouctwa, czyli do wyuczenia się czytania bez nauczyciela i nawet bez mozołu *).

*) Wkrótce w tutejszych księgarniach, będzie ulepszone i znacznie powiększone wydanie tego elementarzyka, po 3 gr. poszyt, a taki ulepszony jeden wystarczy do nauki.

FAŁSZYWA NUTA.

Dla czego serce jakoś drga radośnie,
Gdy ze skowronkiem myśl leci ku wiośnie,
A z bryłką lodu, która słońce kruszy,
Dla czego spada jeden kamień z duszy?—
I radość rośnie i nic ją nieztłumi,
Gdy po śnie długim, co długo wzrok smuci,
Trawka wystrzeli i potok zaszumi,
Gaj się zacieni, i słowik zanuci.—
To taka lubość taka tajemnicza,
Obejmie serce i duszę płomienną,
Jakbyś już chwytał marę szczęścia senną,
Lub do kochanki zbliżał się oblicza.

O! bo jest związek człowieka z przyrodą,
Gdy ona z wiosną wychyli twarz młodą,
I szata słońca przetrze senne oczy;—
Człek zapatrzony na jej wdzięk uroczy,
Tak się zamyśli, zaduma, rozmarzy,
Że zapomina o sobie, o bólu,
I słodki uśmiech błyśnie mu na twarzy,
Niby kwiat róży na cmentarném polu.

Dla czego potém, zdjąwszy wzrok ciekawy,
Z cudów co widział na ziemi i niebie,
Ten sam wzrok człeczy — taki zaraz łzawy,
Gdy spojrzy w siebie i obaczy siebie—
I dwa obrazy porówna, zespoli,
Przymierzy z sobą, przy sobie zestawi—
Dla czego potém—jeden błogosławi,
A całym bólem nad drugim zaboli?...

Bo w wszechstworzenia harmonji i ładzie,
Gdzie wszystko zgodnie składa się do wtóru,
Jedna jest nuta, jedna tylko w zwadzie
Z nastrojem pieśni i z całością chóru.
Próżno ta nuta w fali tonów ginie,
Wychodzi sama na jaw zgodą dźwięku,
A gdy modlitwą hymn do niebios płynie,
W Hozannie głosów poznać ją po jęku.

Bo lądy, morza, zgodną brzmią muzyką,
W wzajemny akord wiążąc wszystkie głosy,
A w tej muzyce, jedną tylko dziką,
Fałszywą nutą—są człowieka losy.
Bo wszystko szczęściem w przyrodzie oddycha,
Radość w ślad biegnie za słońcem i wiosną,
Niebo do ziemi wdzięcznie się uśmiecha,
Ziemia do nieba nuci pieśń miłośną.
A wśród téj pieśni i cudów bez końca,
Któremi ziemską Bóg ubrał świątynię,
Śród barw i woni, uśmiechów i słońca,
Gorzka łza tylko z ludzkich losów płynie....

A losy wielkie, piękne cele, drogi,
Tam skarby wiedzy, wyższe prawdy nieba;
Ale na drogach i ciernia i głogi,
Bojem a pracą zdobywać je trzeba.
A gdy zdobyte i trud nie spełz marnie,
I z twego siewu zeszły złote kłosy,
Ludzkość plon zgarnie i korzyści zgarnie,
A tobie — bolem posiwiało włosy.

Zwarły się szyki w krwawéj bitwy szale,
Chwała zwycięzcy, sztandar mężnych łupem;
Ale plac boju tych zasłany trupem,
Którzy zwycięztwa przechylili szalę.
Ot dzieje ludzkie... W każdym ich okresie
Jakaś idea przeleci, zaszumi,
Pod jéj znamiona lud garnie się, tłumi,
I słodko życie w ofierze jéj niesie.
I w miejsce tamtéj, skąpanéj w krwi, w pracy,
Ciągnie znów druga jak wędrowni ptacy,
A tak przechodząc każdy wiek z kolei,
Po łzie, na dziejach poznasz ślad idei.

I z mętu wieków i czasu bezdroża,
Wychodzi na świat i staje — myśl Boża,
Czysta bez skazy i jak anioł w bieli,
A w jéj spojrzeniu miłość się anieli,
Z prawdą na czole i w ustach i piersi,
A lud, maluczcy—poznali ją pierwsi.
I szmer się rozszedł co otuchę krzepi,
Bo zrozumieli ludzie dobréj woli,
Że gdy myśl Boża w sercach się zaszczepi,
Przyjdzie świt szczęściu, a zachód niedoli.

Więc bój za prawdę, kto z sercem podniosłém,
A lud, maluczcy—najpierwsi jéj posłem;
I walka na śmierć—a w śmiertelnéj walce,
Węże ciemności i fałszu padalce;
Z sykiem i złością rzuciły się wściekłą,
By zgnieść myśl Bożą, co zamyka piekło,
I nieśmiertelną, objawioną w cudzie,
Jak męczennice pchnąć żywcem do truny—
Choć ci—i tamci—i wszyscy—ach, ludzie
Jednego Boga, jednéj lutni struny!

I ze strun lutni, którą dłoń niebieska,
Na strój zgodnego naciągnęła dźwięku,
Gorzka boleści stoczyła się łezka,
I w pieśń upadła i na nutę jęku,
Co pierś rozdziera i duszę przenika,
Zagrała cała światów harmonika.

Pieśń huczy burzą przez ziemskie przestworza,
A owa święta, zrodzona w niebiosach,
Duchem na ziemi, słyszy ją—myśl Boża,
I liczy łezki, które w ludzkich losach,
Świecąc męczeństwem, jak kwiat pełen woni,
Modlitwą płaczu, wciąż modlą się do niéj.
A czy wymodlą—i w chwili ostatniéj,
Fałszywą nutę, w zgodnéj światów nucie,
Zmienią na jeden hymn miłości bratniéj,
Na jedno wielkie ludzkości uczucie?..

To serce czuje i samo wyrzeka,
Że chwałą Boga jest szczęście człowieka.

Henryk Cieszkowski.

O UBIORACH.

I cóż by wam tu dziś nowego o strojach powiedzieć miłe czytelniczki? boć przecie to nasz obowiązek, ciężki w prawdzie w obecnéj chwili..... gdy mało nowości w magazynach o których byśmy już niewspominały. Będziemy chyba mówić o tém co dopiero będzie kiedyś, — bo dziś jeszcze za *nowe*, aby mogło być używane, nie mówię już powszechnie, ale nawet przez małą liczbę osób. Nowością tą są suknie z wystrojem na tylnych brytach spódnicy. Widziałyśmy model takiéj sukni popielatéj bareżowéj; na trzech wierzchnich fałdach spódnicy od końca pleców, biegły do dołu, niedostając na trzy cale obrąbka, trzy, na cwierć blizko łokcia szerokie, czarne mantynowe wstęgi, węższe nieco u góry, a szersze u dołu. Przyszyte były do sukni w równéj od siebie odległości, węższéj również u góry, tak że tworzyły rodzaj kolumny. Brzegi ich dokoła naszywane pare razy, wąziuchną białą jedwabną tasiemeczką, czyli tak zwanym sutaszem, takaż tasiemeczka otaczała brzeg spódnicy, objęty czarną mantyną. Nie możemy powiedzieć aby ten rodzaj ubrania sukni miał wdzięk najmniejszy, jest to sobie po prostu kaprys mody, któréj w końcu widać z trudnością przychodzi już coś nowego w tym rodzaju stworzyć, a koniecznie zmienić by rada dość długo już trwające ubrania spódnic dokoła, z przodu, lub z boków. Musiemy nadmienić także, że ta wszechwładna pani, wygnawszy już od niejakiego czasu z wieńców ślubnych staro-dawne mirty i rozmaryny, obecnie same wieńce odrzuciła. Najmodniejszém teraz ubraniem głowy do ślubu, są pojedyncze pęki kwiatów tu i owdzie przypięte według upodobania. Kwiaty te, stosują się do pory roku, na wiosnę róże, w jesieni zaś astry, winny stroić pannę młodą. Kwiat pomarańczowy, gdzie niegdzie plącze się pomiędzy niemi, ale tak nie znacznie, jak gdyby nie długo miał być również wygnany. Wielkie welony z illuzyi zawsze są używane, osoby chcące mieć gotowe ubranie głowy, dla panny młodéj na wieś, mogą kazać upiąć na druciku welon i kwiaty, te ostatnie jednakże, układają się wtedy najczęściéj w rodzaj djademu po nad czołem, gdyż pojedynczo oderwane, na głowie tylko najlepiéj się dają ułożyć.— Suknie do ślubu używają

obecnie z *poult de soie*, lub z białego cienkiego muślinu, trzyłokciowéj szerokości, (na zł. 7 łokieć) pierwsze robią się wycięte, z krótkiemi rękawami, gładką, długą powłoczystą spódnicą, gładkim stanikiem opasanym szarfą, zakończoną z tyłu długiemi końcami i przystrojonym bertą z koronki, lub blondyny mięszanéj z illuzją. Jeżeli ktoś nie życzy sobie sukni wyciętéj, może dodać do niéj dla pokrycia ramion, rodzaj szmiżetki z illuzji *guimpe* i takież szerokie buffy spięte u ręki, do krótkich rękawów. Drugie suknie, to jest muślinowe, robią się pod szyję ze stanikiem spodnim wyciętym, spódnice zaś ubierają się w falbanki lub wody, według upodobania; rękawy pół zamknięte. W ogóle można powiedzieć że rękawy szerokie otwarte, prawie całkiem zarzucone. Stanik pod szyję, wycinają niekiedy mocno z przodu, w sposób czworograniasty *carré*, otacza je do koła koronka, druga zaś taka sama, wysuwa się z podspodu i tworzy niby szmiżetkę.— Tak wycięte staniki, używają się jedynie, do strojniejszego ubrania. O haftach niesłychać aby wchodziły w użycie. Spódnice, nawet białe perkalowe, w miejsce dawnych szlaków, mają dokoła po trzy falbanki, które po ukrochmaleniu i wyprasowaniu, karbują się w grube karby, używaną do tego machinką.— Widziałyśmy także u osoby bardzo wykwintnéj w stroju, spódnice białe, pół batystowe, zdobione wstawkami z *valenciennek* wyszywanemi w różne wzory. —Kapelusze, w obecnéj porze, w przeróżnych przedstawiają się kształtach, do najwięcéj używanych należą *marynarskie*, takie jak te które przedstawia nasza rycina Lipcowa, tylko że w Warszawie zdobią je piórami na przodzie nie z boku. Czasem ku téj ozdobie, układają jedno duże pióro wraz z wstążką, w rodzaj dużéj rozasy, czasem też kilka drobniejszych tworzy tak nazwany *panache*. — Ze zwyczajnych kapeluszy, które uważamy za jedynie stosowne dla osób starszych, widziałyśmy w tych dniach kilka bardzo ładnych, jeden n. p. biały tiulowy, ubrany był w kratę wstawkami z czarnéj koronki, karczek biały tiulowy, pokryty miał czarną również koronką, a spód i wierzch ronda zdobny w duże w pół białe, a w pół czarne kwiaty. Drugi biały łyczkowy, miał ubranie z czarnéj wstążki ciętéj w liście, inny czarny włosiany, ubrany był czarną koronką i czarnemi kwiaty.— Widziałyśmy także w magazynie Pani Włodkowskiéj, ładne ubrania na głowę, dla osób młodszych, z czarnych wstążek i koronek, zawsze podniesione po nad c zołem, w cenie od rubli 3 i pół, do 6 i 7 — jedno z nich szczególniéj nam się podobało, zdobiły je z boku duże białe kwiaty, zamieszczone w pośród pęku czarnéj trawy, nakrapianéj stalą. Pomiędzy ozdobami sukien w tymże magazynie, podobało się nam ubranie czarnéj *poult de soie*, składające się z naszycia dokoła spódnicy, na poł łokcia odstąpionym od obrąbka, wąziutkim białym sutaszem, w prążki, które razem wzięte naśladowały wstęgę czarną z białém, na cwierć łokcia szeroką. Wstęga ta, w niewielkich odstępach, przeszywaną była w poprzek czarną aksamitką na palec szeroką. Rękawy sukni podobnież były ubrane. Widziałyśmy wiele gotowych spódniczek i paltocików popielatych, z czarném wyszyciem w cenie rs. 17, 20 lub 25. Chcąc nabyć takowe ubranie, jeżeli nie można je samemu zmierzyć, potrzeba przysłać tylko miarę długości spódnicy osoby dla któréj ma być przeznaczone. Pomiędzy gotowemi sukniami, widziałyśmy także ładny ranny szlafroczek, popielaty z czarnym, fasonu tak zwanego *Gabrielle*, to jest z jednéj sztuki cięty stan i spódnica w kliny, spódnica ta od kolan zakończona była szeroką falbaną, z marszczoną główką, na przodzie niby fartuszek, miała na wierzchu dwie okrągłe kieszonki.— Oglądałyśmy także u pana Thonnesa, ładne ranne ubrania, składające się z spódnicy białéj pikowéj, która u kolan, wrobiony miała na pół łokcia szeroki szlak, naśladujący czarną koronkę; spódnice takie kosztują od 7 do 8 rubli, stosownie do szerokości, do nich kładą się białe kaftaniki. Najładniejsze widziałyśmy pikowe, wcięte z szeroką baskiną i bertą naszytą białym bawełnianym sutaszem.— Pan Thonnes ma jeszcze znaczny zapas letnich okryć badzo tanich i ładnych. — Szerokie i długie burnusy, w kratkę białą z czarnym lub popielate, są od 4 do 5, 6, 7 i 8 rubli. Czarne kaszmirowe po 12 i 15 rs. takież chustki okładane czarną mantyną po 10 rs. Ubrania gotowe od 22 do 25 rubli, znajdują się tamże w wielkiéj ilości. — Z klejnotów używanych obecnie, podobały nam się najwięcéj brosze i kolczyki, ze stali rzniętéj jak brylanty, w cenie, rs. 8 i bransolety składające się z trzech rzędów dużych hebanowych paciórek, spiętych takimże medaljonem.— Jedna taka bransoleta kosztuje rs. 7. Zarówno rznięte stalowe, jak hebanowe klejnoty, droższe są od zwyczajnych wyrobów z lawy i aluminu, ale za to też trwalsze nierównie, od pierwszych szczególnie. Oglądaliśmy także znaczny wybór pasków do sukien wraz z klamerkami, jak również klamerek osobno się sprzedających po różnych cenach.

Zakończając rzecz o ubiorach musiemy zalecić jeszcze czytelniczkom naszym, spirytus wynalazku pana Cronier (esprit mineral) do wywabiania plam tłustych, z wszelkiego rodzaju materji jedwabnych i wełnianych, oraz do prania rękawiczek, o skuteczności którego przekonało nas własne doświadczenie. Flaszka takiego spirytusu wraz z opisem sposobu użycia, kosztuje zł. 2 gr. 20. Magazyn pani Cronier gdzie się sprzedaje, jest przy ulicy Śto Krzyskiéj.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Przód pelerynki z deseniem do wyszycia aksamitką.
Nr. 2. Plecy pelerynki.
Nr. 3. Figura całéj pelerynki.
Nr. 4. Przód do szmizetki.
Nr. 5. Plecy szmizetki.
Nr. 6. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami do téjże.
Nr. 7. Figura całéj szmizetki.
Nr. 8. Majtki dla pięcioletniego chłopczyka z odznaczeniem podcięcia z obu stron przodu i tyłu.
Nr. 9. Przód kurtki.
Nr. 10. Plecy.
Nr. 11. Boczki.
Nr. 12. Rękaw z wyłogą.
Nr. 13. Figura całéj kurtki i majtek.
Nr. 14. Plecki sukienki, dla siedmioletniéj dziewczynki.
Nr. 15. Przód stanika.
Nr. 16. Boczek.
Nr. 17. Rękaw.
Nr. 18. Epolet.
Nr. 19. Szelki do sukienki.
Nr. 20. Figura całéj sukienki.
Nr. 21. Przód stanika w kształcie żuawki, dla dorosłéj osoby, z deseniem do wyszycia tasiemeczką.
Nr. 22 Plecy.
Nr. 23. Rękaw.
Nr. 24. Stojący mankiet angielski, z potrójnego płótna, do męzkiéj koszuli.
Nr. 26. Połowa zwyczajnego podwójnego kołnierza, do męzkiéj koszuli.
Nr. 27. Połowa kołnierza angielskiego do męzkiéj koszuli. Kołnierz ten kraje się z potrójnego płótna, sznureczki wszywają się; gwiazdki zaś haftują atłaskiem. Tak kołnierze te jak i mankiety, można robić oddzielnie, a potém przyczepiać do koszuli obszytéj wązką obszewką, za pomocą guziczków.
Nr. 28. Figury całkowitych stojących i wykładanych kołnierzy i mankietów do męzkich koszul.
Nr. 29. Kołnierzyk haftowany atłaskiem.
Nr. 30. Mankietek.
Nr. 31. Szlarka atłaskiem.
Nr. 32. Imię na róg chustki do nosa.
Nr. 33 Wyszycie do dołu sukni lub kaftana, taśmą czarną i plecionką.

ALBUM ARTYSTÓW I PISARZY POLSKICH,

na pamiątkę tysiącletniéj rocznicy wstąpienia na tron Polski dynastyi Piastów i pierwszych początków chrześcijaństwa w Polsce.

„Nie wdając się tymczasem w żadne uczone wywody, czy i kiedy Piast żył i na tron Polski wstąpił, czy i kto byli aniołowie przepowiadający mu świetność jego rodu i kraju: wzywamy niniejszem bezwłocznie, ponieważ czas nagli, wszystkich pisarzy i artystów Polskich, którzy w przyszłym roku uczcić pragną tysiąc-letnią pamiątkę pierwszych zawiązków państwa Polskiego, jako téż chrześcijaństwa w ziemiach niegdyś Polskich,—ażeby najdaléj do końca bieżącego roku, na ręce podpisanéj redakcji franko nadesłać zechcieli swoje prace, jako to: poezje, powieści, opisy, wspomnienia, wszelkiego rodzaju rozprawy naukowe, rysunki, fotografije rzeźb i budowli, muzyczne kompozycje, wraz z portretami i życiorysami swojemi, w celu utworzenia z nich powyżéj oznaczonego Albumu z którego czysty dochód przeznacza się na pomnik dla Piasta, późniéj mający się bliżéj oznaczyć.“

Warunki prenumeraty na to dzieło, ogłoszone zostaną w swoim czasie. Z natury rzeczy wynika, iż prace doń wchodzić mające, nie mogą być zbyt obszerne, a rysunki i fotografje (które za pomocą fotografij pomnożone być mają, gdyż do ich rytowania zbywa na czasie) nie mogą być zbyt duże, lubo ze względu na cel dla jakiego są przeznaczone, pwinny być niepośledniej imieć niewątpliwą, naukową lub artystyczną wartość. Swoją treścią nie potrzebują się bynajmniéj odnosić do wypadków, na których cześć są przeznaczone. Album to ma być in quarto-majori. Wrazie potrzeby urządzi się dwa wydania, jedno więcéj drugie mniéj przedmiotów zawierające.

Dla kontroli przesyłek, będzie Redakcja w swém piśmie umieszczała co tydzień wiadomość o nadchodzących artykułach, wymieniając rodzaj pracy, jéj autora i miéjsce wysyłki.

Wszystkie pisma polskie upraszamy, ażeby tę naszą odezwę powtórzyć, rozpowszechniać i popierać raczyły.“

Dr. **Kaźmierz Szulc.**
Redaktor *Tygodnika Poznańskiego.*

Poznań w Lipcu 1862 r.



Compte Calix del.　　Moine Imp. r. St Louis en l'Ile, 90. Paris　　E. Bracquet　　1007

KÓŁKO DOMOWE

Sierpień 1862

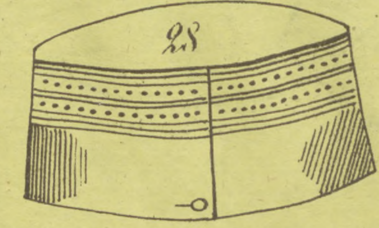
KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Sierpień 1862 r.

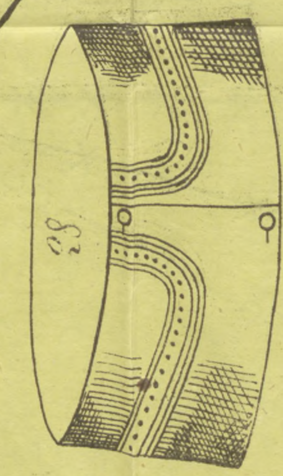
No 23

No 33

No 24

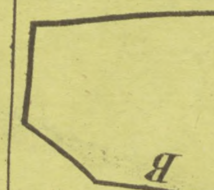


No 25



Mankiet do kapki pod tymże numerem

No 25



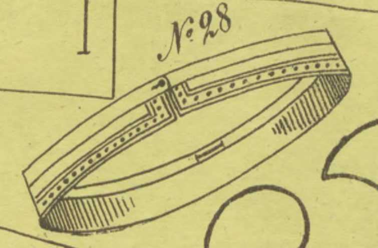
Karczek do Kołnierza pod tymże numerem 26

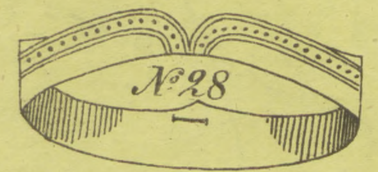
No 26

27 Karczek do Kołnierza pod tymże numerem

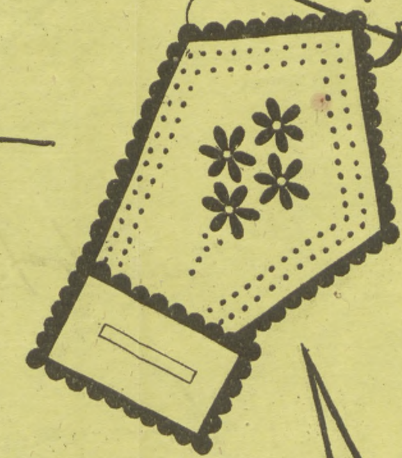
No 27

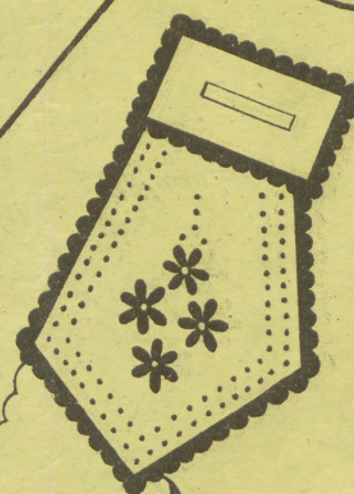
No 28





No 22





No 30

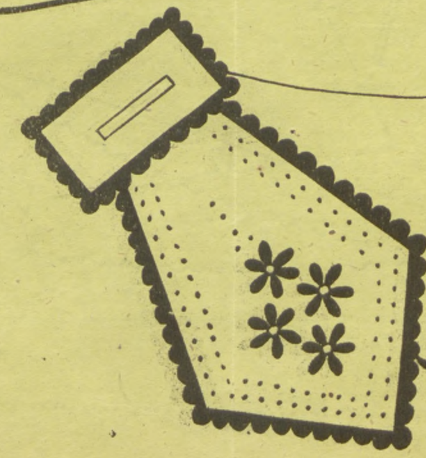


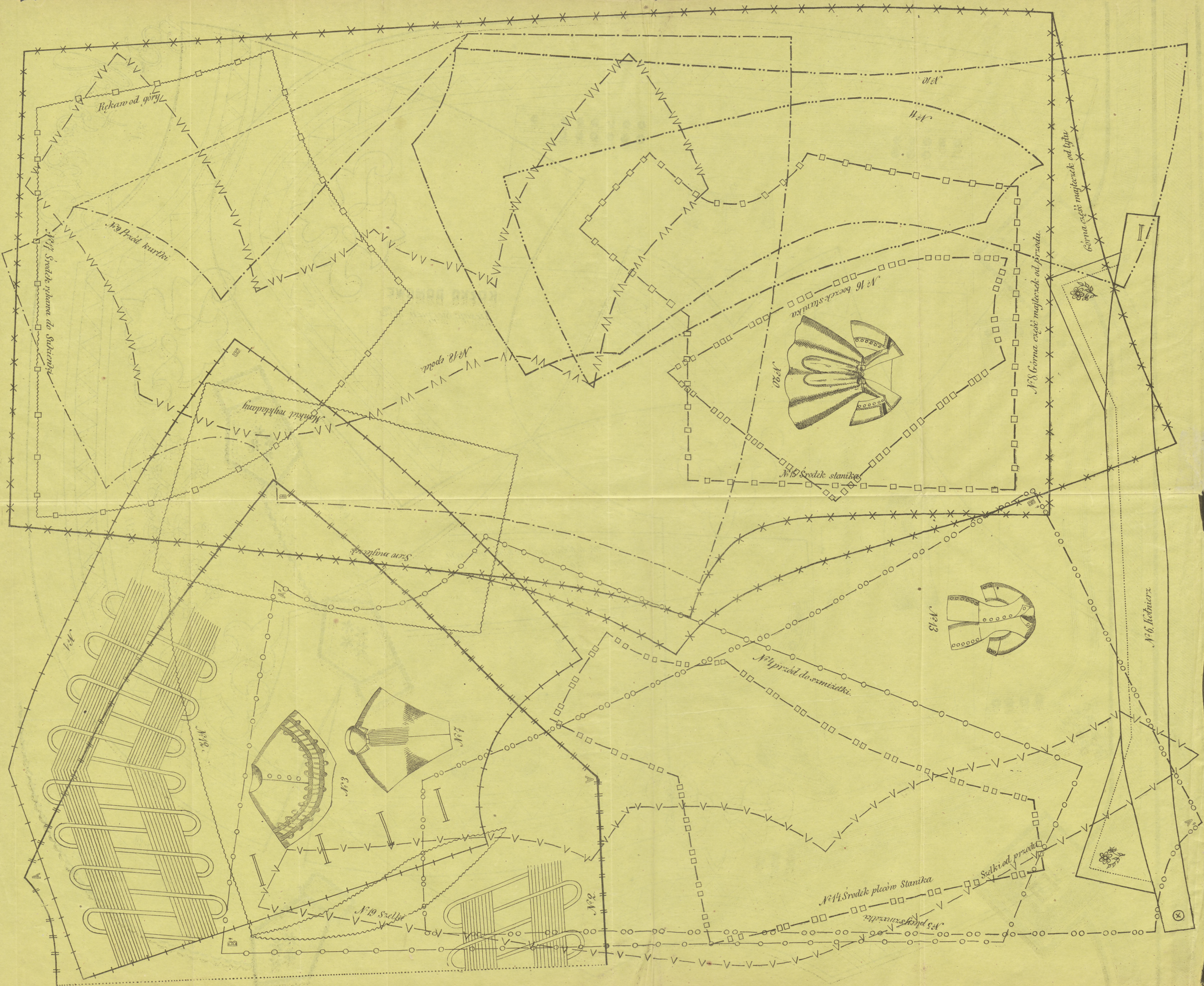
No 31

No 21

No 32

No 29





Rękaw od góry
N°9 Przód kurtki
N°17 Środek rękawa do Sukienki
N°18 spód
N°16 boczek stanika
N°15 Środek stanika
N°8 Górna część majtczek od przodu
Górna część majtczek od tyłu
N°6 Kołnierz
N°4 przód do szmizetki
N°14 Środek pleców Stanika
Szelki od przodu
N°19 Szelki
N°3
N°2
N°1